№ 24. Warszawa, dnia 11 Czerwca (30 Maja) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Od 1-go lipca r. b. redakcya „Prawdy", mieścić się będzie przy ulicy Włodzimierskiej (róg Ś-to-Krzyskiej), w domu Wgo Walfisza pod nr. 2.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału, upraszamy szan. abonentów prowincyonalnych o wczesne nadsyłanie przedpłaty dla uniknięcia zwłoki lub przerwy w odbiorze pisma. Ci, którzy nie zdążą przesłać pieniędzy a życzą sobie nadal otrzymywać **Prawdę**, zechcą uwiadomić nas o tem listownie.

BEZPŁODNE SŁOWIANOFILSTWO.

Aż do ostatnich tygodni bieżąca literatura rosyjska przedstawiała ciekawy widok walki dwu obozów: tak zwanych zachodniowców i słowianofilów. Pierwsi zdjąwszy miarę z instytucyj europejskich chcieli według nich przykroić formę życia dla własnego państwa; drudzy, rozdzierając i prując zawzięcie tę robotę, wykazywali, że jest to strój, nieodpowiadający naturalnym i historycznie rozwiniętym kształtom Rosyi. Nigdy klątwa na „zgniły" Zachód nie rozlegała się głośniej i nie odbijała się w kolumnach prasy petersbursko-moskiewskiej liczniejszem echem. Uwierzywszy jej, należałoby przypuścić, że ciało Europy od kilku lat psuje się i że jedyną zdrową, a przynajmniej uleczalną jego częścią jest Rosya. Zbyt niedorzecznie brzmi ta nienawiść do „zgniłego Zachodu," którego cywilizacya karmi świat cały, nie wyłączając jej pogromców, zbyt wreszcie ośmieszone ich maczugi, ażebyśmy tu potrzebowali rozprawiać się z banialuką, która stanowi często jedyny posag wielu umysłowych mizerot. W tej chwili idzie nam jedynie o rachunek z politycznej twórczości słowianofilów. Dotąd bowiem robili oni wyłomy w twierdzach „zachodniowości;" teraz, jeśli prawda, co głoszą, że nadeszła na nich kolej wytknięcia innego kierunku rozwojowi państwa, warto spytać, jakie na miejsce wywróconych stawiają nowe drogowskazy.

Czy należy cofnąć reformę włościańską? Czy znieść instytucyę sądów przysięgłych? Czy usunąć ziemstwa? Czy ograniczyć swobodę stołecznej prasy? Czy zamknąć wyższe zakłady naukowe? Sądząc z dotychczasowego krzyku *N. Wremien'*, *Mosk. Wiedomosti* i *Rusi* (płynących dziś pod jednym żaglem), procesujących się z Piotrem W-im o szkody, wyrządzone przez wprowadzenie cywilizacyi zachodniej, należałoby na te pytania odpowiedzieć twierdząco. P. Aksaków starłby chętnie z tablicy Rosyi całe jej popiotrowskie dzieje, ale coby natomiast chciał napisać, co pisze? Dotąd nie widzimy ani jednego pozytywnego słowa. Co było dotąd od wieku jest złe, ale co dobre — nie wiadomo. Partya konserwatywno-słowianofilska unieważniła w teoryi wszystkie pozycye liberalizmu; gdy jednakże stanęła przed obowiązkiem nakreślenia nowego programu, przed pytaniem: co robić — nagle zamilkła. I dziś jeszcze, jak dawniej, sypie narodowi w oczy plewy, które on przewiewa, a nie znalazłszy w nich ziarna, odrzuca i chwyta nową ich garść w nadziei, że coś przecie odszuka. Odszukać jednak nic nie może. To też słuszną poniekąd uwagę robi *Gołos*, że „ochraniacze (*ochranitieli*) nie mają odwagi wypowiedzieć swych ostatecznych myśli. Gdyby byli — powiada — szczerzy, winniby zaproponować natychmiastowe zawieszenie wszystkich czasopism, nienależących do ich obozu; zamknięcie wszystkich zakładów wyższych, prócz liceum Katkowa; zupełną przemianę sądów, tj. zniesienie jawności a przywrócenie tajemnicy wraz z biuralistyczną pisaniną; usunięcie ziemstw we wszystkich miejscowościach, gdzie instytucye te miały jakiekolwiek starcie z władzami; wreszcie zesłanie wszystkich tych osób, które kiedykolwiek i pod jakimkolwiek względem ściągnęły na siebie podejrzenie o nieprawomyślność." Właściwie wszystkie te pragnienia dałyby się pośrednio wywnioskować z zapamiętałych wycieczek „ochranitieli" przeciwko liberalizmowi; nie tyle więc we wstrętach spoczywa ich bezsilność, ile w upodobaniach. Niedość powiedzieć, że Zachód jest „zgniły" a jego naśladownictwo w Rosyi sztuczne i szkodliwe; trzeba jeszcze wskazać, co jest zdrowem, naturalnem i dobroczynnem. Organizacya państwa przed reformą piotrowską? Reakcyoniści mają odwagę wyznać to ogólnie, ale nie mają odwagi zalecać szczegółowo wszystkich instytucyj tej epoki. Dopóki łechtać mogą swe podniebienie frazesem, dopóty go przeżuwają; ale gdy trzeba rozgryźć ów przysmak dawnej tradycyi, mielą językiem, nie mówiąc, że im smakuje.

Nic dziwnego. Rosya może jest jedynym w Europie krajem, nieposiadającym konserwatyzmu umiarkowanego. Jej zachowawcy, nie poprzestając wzorem torysów angielskich na chronieniu tego, co ochrony godne, umieją tylko przeciwstawiać się wszystkiemu, co liberalizm ogarnia, i posuwać się w kierunku przeciwnym, bez względu na to, dokąd on ich powiedzie. To też konserwatystów w rodzaju pp. Katkowa, Askakowa i tp. nie hoduje ani jeden kraj w Europie a nawet nie posiada ich między swymi gatunkami kopalnymi. To nie junkierstwo pruskie, nie feodalizm austryacki, nie legitymizm francuski, ale jakiś żywioł przedhistoryczny, nieznajdujący ani w te-

raźniejszości, ani nawet w oświetlonych dziejach odpowiedniego dla siebie podkładu. Oderwany od życia, wznosi się on w sfery fantazyi, pragnie nieujęte mgły polityczne ukształtować i rzuca się w snach zaludnionych dziwolągami. Gdy wreszcie owe cudackie rojenia ma wcielić w postacie żywe, cofa się przed ich urzeczywistnieniem i zdradza swą zależność od tych samych praw teraźniejszości, któremi pyszałkowato gardzi. Bo cokolwiek bredzą przodownicy wsteczni o swej wzgardzie dla zgnilizny Zachodu, nie mogą wyzwolić się z pod jego wpływu, który przenika do ich najniedorzeczniejszych rojeń. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby p. Aksakowowi powierzono dziś przekształcenie państwa, dałaby się bez trudu wykryć w tej jego reformie „zgniła Europa.“ Na stanowisko, które zajęli ludzie tego kroju, nie wprowadziły ich przekonania, lecz wpędziła walka z obozem przeciwnym. Pewien rosyanin, bacznie śledzący objawy swego narodu, zauważył trafnie, że słabością rosyan jest nadmierny rozrost popędów wojowniczych, które podsycają potrzebę bojowania, bądź po za domem, bądź w domu. Siła ta, niezużytkowana na zewnątrz, działa wewnątrz i wywołuje owo namiętne wrzenie, owe zajadłe starcia żywiołów, stronnictw i poglądów, które odrzucają każdą ze stron na niezwykłą od drugiej odległość. Ona również tłomaczy nam posunięcie się konserwatystów rosyjskich na kraniec, przez żaden element pokrewnego charakteru w Europie niezajęty. Gdyby autorów filipik, pisanych często bez namysłu a zawsze jedynie z myślą przeciwstawienia się obozowi wrogiemu, usunąć z pola walki i zmusić ich do spokojniejszego rozważenia rzeczy, przekreśliliby może cały swój rachunek polityczny, do którego dziś odważnie dopisują coraz nowe brednie.

Wodzami tego wstecznego ruchu nazwaliśmy słowianofilów, chociaż nie wszyscy z nich otrzymali na chrzcie polityczným to imię. Ale właśnie skupienie się ludzi najrozmaitszego przedtem charakteru pod jedną słowiańską, albo lepiej — cerkiewno-słowiańską chorągwią wykazuje, jak skojarzenie się to niejest związkiem naturalnym, lecz wynikiem taktyki polemicznej. Pp. Suworin i Katkow, pociągający dziś swymi smyczkami po słowianofilskim kontrabasie p. Aksakowa, nie tworzyli z nim dawniej zgodnego tercetu; obecnie grają według jego nut, bo on reprezentuje jakąś ideę, która w narodzie znajduje oddźwięk. Niestety, wódz słowianofilów, zapędzony w ostateczność wsteczną wraz z innymi, zgotował tej pod zdolniejszem kierownictwem zwycięskiej idei dotkliwą porażkę. Pojął on ją nie jako hasło wielkiej rodziny ludów, ale jako sygnał garstki wstecznej. Obecne słowianofilstwo w jego rozumieniu nie jest ani słowiańskiem, ani nawet rosyjskiem, ale czysto moskiewskiem. Nie jest to ani teorya polityczna Pogodina, ani Hilferdynga, ani Chomiakowa lub ich natchnień, tlejących dotąd w dwu lub trzech czasopismach, a ogarniających po bratersku wszystkie narody słowiańskie, lecz systemacik, upleciony z biczów na *Golos*, *Stranę* i *Mołwę*. Idlatego po za ciasnem, mimo wrzasku, kółkiem wielbicieli p. Aksakowa lub jego współwyznawców, nie znajduje ten systemacik nigdzie odgłosu, nie budzi uczuć sympatycznych zarówno w Petersburgu, jak w Warszawie, Pradze, Lublanie i Belgradzie. Nikt do niego nie przyczepia swej nici, owszem każdy ją przerywa. Bo i cóż to za *słowianofilstwo*, które w $^9/_{10}$ swych przekonań i pragnień jest słowianożerstwem; co to za idea, która migocze przed oczyma ciemnej gromady? Jakkolwiek p. Aksakow wraz ze swymi księżycami może się łudzić, że w ruch swego obrotu wciągnie wszystkie ciała słowiańskie; dla nas jednak nie ulega wątpliwości, że słowianofilstwo w jego porodzie jest bezpłodnem dla przyszłych losów plemienia, niezdolnem rozwiązać obecnych zagadnień życia Rosyi, bezsilnem wobec jej ciężarów. Przez tę cienką piszczałkę szeroki prąd dziejów słowiańskich nie przepłynie, a jeśli ma toczyć się w tym kierunku, to wyżłobi sobie inne, rozleglejsze ujście. Wsteczna, wyłącznie moskiewska teoryjka zejdzie ze świata bezpotomnie i nikt z pobocznych spadkobierców nie zapyta o jej testament, bo nie będzie chciał objąć po niej dziedzictwa, obciążonego długami, przenoszącymi o wiele wartość legatu.

A. S.

SŁOWA PRAWDY.

III.

(Dobre chęci).

„Od kilkudziesięciu lat istnieje w Europie tak zwana kwestya polska. Niekiedy staje się ona przedmiotem poważnych rozmyślań gabinetów, niekiedy, jakby przyczaiwszy się, ucicha, i znów potem, wysuwa się na plan pierwszy, siejąc niepokój i trwogę w całym ucywilizowanym świecie.“ Temi słowy p. M. Szygaryn rozpoczyna swą, naprzód po rosyjsku a świeżo po polsku wydaną, broszurę p. t. *Czego potrzeba dla naszego zbliżenia się z polakami?* Jest w tych słowach nieco przesady, ale jest także dużo prawdy. Mimo tylokrotnie odśpiewanych egzekwij i pogrzebów, „kwestya polska“ ciągle się zjawia i tuła jeśli nie po gabinetach, to w każdym razie po dziennikach. W obecnej chwili orzech ten gryzą głównie zęby prasy rosyjskiej. Prasa pruskoniemiecka, przekonana, że jej zdobycz dogorywa, dobija ją tylko od czasu do czasu kolbami swej celnej broni; austryacka, pogodziwszy się z faktem politycznego dźwignięcia Galicyi, targuje się z nią jedynie o resztki równouprawnienia; najbardziej więc splątany węzeł gordyjski Królestwa najliczniejsze wywołuje próby rozsnucia go lub rozcięcia. Dotychczas pracują niemal wyłącznie ręce rosyjskie. Ostatnie wyniki ich usiłowań zasługują na uwagę; poznajmy je kolejno, zacząwszy od głosu, którego zdanie przywiedliśmy wyżej.

„Czego potrzeba dla naszego zbliżenia się z polakami?“ — pyta rosyanin, ożywiony chęciami najserdeczniejszej zgody. Odpowiedź ciekawa. Według p. Szygaryna w literaturze rosyjskiej „nie wyrażono

---

[3)]

OPIEKUNOWIE

przez

Szczedryna.

Rozmawialiśmy na placyku przed restauracyą. Z zakładu dochodził nas odgłos gwaru ugaszczającego się ludu, pomięszany z brzękiem przyrządów herbacianych i z dźwiękami „miserere,“ które wygrywał organ. Węch nasz również nie zupełnie mile drażnił swąd pary, pomyj, dymu tytuniowego i czadu z kuchni — unoszących się z otwartych naoścież okien restauracyi. W zestawieniu ze świeżością, dolatującą z nad rzeki, pośród panującego dokoła milczenia, restauracya wydawała się jakąś poślednią kloaką, zatłoczoną przez niepowściągliwe i żarłoczne gady. Wszystko to zapowiadało mające nastąpić picie herbaty o tyle nieponętnem, że już zaczynałem przemyśliwać, czyby nie było lepiej cofnąć się do skromniejszego schronienia przed liberalno-policyjnemi rozprawami mego wypadkowego towarzysza.

— A, otóż i mój kapitan! — zawołał Kołotow: — Ehe! Zdaje się, ktoś jeszcze z nim:—ksiądz, czy co? Bo i ci także zabrali się dziś niewielkiemi siłami do wydziału zasad ochronnych!

Spojrzałem na górkę restauracyi. Tam, w otwartem oknie, stała długa postać i machała chustką w naszą stronę. Z po za niej wyglądało coś istotnie podobnego do popa. Długa figura wydała mi się jakby znajomą.

Po chwili, byliśmy już na górce, w małym pokoiku, którego ściany umalowano drzewami, na wzór ogrodu. Słońce uparcie wpędzało tu swe promienie, ale kapitan i jego towarzysz, na pozór, nie czuli nieznośnego upału i porządnie chlapnęli, o czem wymownie świadczyła karafka z wódką, opróżniona prawie do samego dna.

Tak, to był on, świadek dni mej młodości, dymisyonowany kapitan Nikifor Piotrowicz Tierpibiedow. Ale jak się zestarzał, wybladł, wynędzniał! Jak mało był podobny do tego czynnego kurojada, jakim go znałem za dni mego szczęśliwego, uroczego dzieciństwa! Boże! Jak to wszystko było dawno... dawno!

Powierzchowność Tierpibiedowa jest bardzo oryginalną. Człowiek lat przeszło sześćdziesięciu, niezwykle długi, śledziowaty, szczupły. Na tym długim tułowie tkwi nieproporcyonalnie mała główka, prawie bez podbródka, z odrobiną włosów na skroniach i ciemieniu, z zaostrzonym nosem, jak u ptaka, z błyszczącemi oczyma wysadzonemi naprzód i spadzistem czołem. Z wnętrzności, jak gdyby z pustej przestrzeni, bez żadnych z jego strony wysiłków, wybiega mocny, jakby szczekający głos—szczegół, który, o ile pamiętam, uderzył mnie jeszcze w dzieciństwie, gdyż przy pierwszem spojrzeniu na jego wyschłą, jakby chwiejącą się postać, można się było raczej spodziewać przeciągłego krzyku żórawia, aniżeli szczekania psa.

Ubrany jest również niezwykle oryginalnie. Ma na sobie frak jasnobrunatny z wąskiemi fałdkami, starego kroju, szare spodnie w kratki ze strzemionami i ciemnomalinową kamizelkę kaszmirową z dwoma rzędami guzików. Na szyi włosiany halsztuk, miejscami silnie wystrzępiony, z pod którego wysuwają się sztywnie wykrochmalone ostre rogi kołnierza, wrzynające się w pomarszczone policzki, jak strzały. Widać ze wszystkiego, że stopniowo dodziera garderobę, nabytą za lepszych czasów.

— Ba! autor!—zaszczekał na mój widok. Uderzyła mnie nagle jakby wilgoć. Zda-

ani jednej zdrowej myśli, *ani jednego* słowa, któreby prowadziło do praktycznego rozwiązania kwestyi.“ Będziemy łaskawsi od autora a nawet powiemy, że w piśmiennictwie rosyjskiem wyrażono bardzo wiele zdrowych myśli, bardzo wiele zdań praktycznych. Czytelnik znajdzie je łatwo w dołączonej do *Prawdy* rozprawie Pypina. P. Sz. uważa ją za bardzo cenną, ale niewskazującą żadnej praktycznej drogi. Działalności rządowej literatura — zdaniem autora — powinna przygotować grunt przez oświecanie opinii i łagodzenie wzajemnych uraz. Tymczasem cóż robi prasa rosyjska? Zmyśla lub wymyśla. Jako przykład takiego postępowania p. Sz. przywodzi jej zachowanie się wobec dwu broszur: bezimiennej *Polska i Habsburgi* i *Listu otwartego do francuskich i słowiańskich historyków, publicystów, polityków i literatów* — Pietraszewskiego. Pierwsza nie uznaje polaków za słowian i pragnęłaby ich połączyć pod hegemonią Austryi, druga zaś pod hegemonią pobratymczej Rosyi. Zdawałoby się — powiada autor, że dziennikarstwo rosyjskie pominie niedorzeczność pierwszej i powita przychylnie drugą. Stało się przeciwnie: pierwszej nadano znaczenie narodowego wyznania wiary a drugą potrącono lekceważeniem. Dla należytego rostrzygnięcia kwestyi potrzeba, według p. Sz., nakreślić program pracy, w którymby „pierwszy paragraf zawierał się w wyłożeniu tak rosyjskiemu, jak i polskiemu narodowi, czy i dlaczego mianowicie korzystnem jest zobopólne zbliżenie się, oraz w jakich warunkach i z jakiemi z obu stron ustępstwami może ono przyjść do skutku.“ Dalej „niezbędnem jest poznać szczegółowo istniejące polskie stronnictwa, żeby dowiedzieć się, czy wybiła już godzina pojednania.. Zbliżenie się nasze, prędzej czy później musi nastąpić. Ostatecznie kwestya polska może być czworakim sposobem rozwiązana: albo niemcy pochłoną polską narodowość, albo my ją zruszczymy, albo polacy odzyskają niezależność, albo nakoniec zbliżą się do nas i, zachowawszy swą narodowość, utworzą jedno i jednym ożywione duchem państwo. W rusyfikacyjnych naszych usiłowaniach ponieśliśmy zupełne *fiasco*, i nigdy zapewnie nie zdołamy zruszczyć wielomilionowego narodu, on zaś sam ustrzeże się od zniemczenia. Gdyby wreszcie Polska została przywróconą, to zgóry ręczyć można, że na czas bardzo niedługi. Tak więc zostaje jedno tylko wyjście: połączenie z Rosyą. Powtarzamy, że ono musi nastąpić; im bardziej jednak będziemy ludzcy i skłonni do ustępstw, tem prędzej jego godzina wybije.“

A więc czego potrzeba dla zbliżenia się rosyan z polakami? „Trzeba nam — powiada autor, sumując swoje uwagi — przedewszystkiem zachować się względem nich więcej ludzko i łagodnie; polacy zaś ze swej strony winni okazać więcej szczerości, której brak zawsze przeszkadzał porozumieniu się; ci zaś z nich, którzy dotąd nie otrząśli się ze złudzeń, niech zrozumią i przyznają, że nierównie lepiej dobijać się celów bardziej skromnych, niż uganiać się za złotemi mrzonkami, które, chociaż świetnie błyszczą, wiecznie pozostaną, z woli losów, w dziedzinie fantazyi.“

Jeśli to odpowiedź na tytułowe pytanie broszury, to co najmniej nie jest ona nową nietylko w dawniejszych rozprawach nad tym przedmiotem, ale i w najnowszych artykułach kilku pism petersburskich. Słyszeliśmy niejednokrotnie pobudki do wzajemnego poznania się, obliczenia zobopolnych korzyści, wyświetlenia stosunków; do sprawiedliwości i ludzkości z jednej strony a szczerości i poskromienia pragnień z drugiej. Ogólne rady są przez prasę rosyjską wyczerpane prawie zupełnie, formalna, że tak powiemy, część przedmiotu załatwiona, pozostaje tylko rzeczowa, i ta właśnie stanowi zadanie najważniejsze. Pozostanie ono zaś niespełnionem dopóty, dopóki do głosu w tej ważnej sprawie dopuszczona będzie tylko jedna strona. P. Sz. widzi u nas „stronnictwo, które zrozumiało konieczność połączenia się;“ nie przeczymy, sądzimy jednak, że stronnictwo takie istnieje dopiero *in potentia*. Innemi słowy, są dla niego pewne zadatki, pewien materyał, ale mogłoby ono powstać, rozwinąć się i zdecydować dopiero wtedy, gdyby znalazło odpowiednie warunki, nieprzeszkadzające mu obok dążeń państwowych objawiać dążeń narodowych. Wszystkie żywioły polskie, które nie oprzędują mrzonkami gabinetów europejskich, które zrozumiały twardą logikę rzeczywistości i pragną w jej ramy oprawić plan życia swego społeczeństwa, nie odważyły się dotąd na żaden krok wyraźny w kierunku pojednania, z obawy, ażeby przesłonięte do połowy ich oblicze obywatelskie nie przedstawiło fałszywie właściwej ich fizyognomii. Polak, apostołujący pojednanie, musi posiadać wszystkie prawa zachowania i objawienia swej narodowości; inaczej, jeżeli uczciwy, cofnie się, a jeżeli ryzykowny ujrzy się odosobniony. Trzeba więc usunąć z jego dążeń ryzyko.

Tyle co do broszury. Autorowi jej należy się od nas za dobre chęci szacunek.

M. S.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ KARNA.

Przedmiot ten: kwestya poczytalności winy i stanu psycho-fizycznego przestępców—pozostaje ciągle zagadnieniem tak ważnem, tak ustawicznie przypominającem się naszej uwadze i rozumowi, że ciągle powracać musi przed myśl naszą jako pytanie, domagające się odpowiedzi. Już raz w *Prawdzie* (nr. 12) rozjaśniliśmy ją wywodem znakomitego badacza rosyjskiego Sieczenowa; obecnie poznajomimy czytelników naszych z poglądem francuskiego pisarza dra le Bona, (w *Revue philosophique* maj), który wzbogaca naszą wiedzę pouczającym przyczynkiem. Pozwólmy naprzód autorowi wytłomaczyć się w ogólnym zarysie.

Każda głośniejsza sprawa kryminalna — powiada le Bon — wydobywa na wierzch kwestyę umysłowego stanu przestępców i rozdziela zajmujących się nimi na dwa obozy: lekarze uważają ich za upośledzonych umysłowo i uwalniają od odpowiedzialności; prokuratorzy znowu za

---

ło mi się, że roztworzyłem drzwi dawno nieotwieranego lochu, w którym złożono w nieładzie stare, zapleśniałe rupiecie. Przypomniałem sobie przeszłość, kiedy Tierpibiedow był jeszcze, jak to mówią, w pełni i służył jako szlachecki członek w sądzie ziemskim. Jak widzimy, było to jeszcze przed ukazaniem się „stanowych“ na arenie wewnętrznej, politycznej działalności (porachujcież — wiele mam lat!). Zajeżdżał on często do nas, bądź za służbą, bądź w charakterze sąsiada wiejskiego i zawsze zwracał moją uwagę szczególniej tem, że nasi domownicy jakoś wcale bez ceremonii z nim się obchodzili.

— No, cóż, kurojadzie, jak tam idzie połów kurcząt? — wiecznie jednakowo witał mój nieboszczyk ojciec ukazanie się kapitana.

— Jakie tam dzisiaj kurczęta! — niezmiennie odpowiadał na to przywitanie kapitan: — dzisiejsze, proszę pana, niekarmione, a jeżeli są niektóre lepiej utrzymane, to na nie już oddawna kapitan-isprawnik zagiął parol.

Zaraz potem, podawano zakąskę i zaczynały się „żarty,“ w których tak był niewyczerpany zastęp obywatelstwa dobrych, starych czasów. Klepano Tierpibiedowa po brzuchu, jakby wymacać chciano pochłonięte przezeń kurczęta, straszono go, sprzątano mu z przed nosa talerz z niedojedzoną potrawą, słowem wygrywano mu na nosie cały szczupły repertuar domowych przedstawień teatralnych. Pamiętam nawet chwilę, kiedy był pod sądem za ukrycie zabójstwa, jak go drażniono za to i jak się tłomaczył, mówiąc, że „jedną chwilkę — gdyby się tylko nie był spóźnił do sekretarza rządu gubernialnego — nic by nie było.“

Później Tierpibiedow znikł w tym ogólnym odmęcie, w którym zakopała się pańszczyzna. Nawet nazwiska jego jakoś nikt nie wspominał, chociaż mój stosunek z miejscem rodzinnem nie przerywał się wcale. I oto nagle okazuje się, że on żywiutenieczki; że potrafił uchwycić za jakąś drzazgę wówczas, kiedy przerwano i zgładzono tamę pańszczyzny; że się ukrył, przecierpiał liberalnych pośredników i nie zginął, ale nawet zjawił się na straży, bezinteresownie, pomnąc i wiedząc, że rzemiosło stróża bezpieczeństwa publicznego wynagradzają u nas raczej docinkami, jak papierami kredytowymi.

— A głos, to, Nikiforze Piotrowiczu, macie ten sam, co dawniej! Pamięta pan, jak pan kiedyś przestraszył ciotkę Praskowię Iwanównę? — rzekłem, witając się z nim.

— A pan pamięta! Nie zapomniał! — zawołał zadrżawszy zlekka: — dobre były to czasy — te czasy dawne — pan je pamięta?

— Pamiętam.

— Tak, powymierali! wszyscy powymierali! Ja jeden, i oto Grzegorz Aleksandrowicz, drugi ze starców, wegetujemy w tych okolicach. Starzy, ojczulku! Opadli! Markowkina Piotra Aleksandrowicza, naszego dawnego marszałka, pamięta pan?

— Gdzież on teraz?

— W Moskwie, panie! W jamie za długi coś dwa lata wysiedział, a teraz jako pisarek u notaryusza, wśród tych, wie pan, pośledních... ma dziesięć rubli pensyi na miesiąc. Ale bo też jakie tam jego pisanie! Pióro nawet więcej w gębę sobie wsadza niż w kałamarz. Dlatego go trzymają tylko, że był marszałkiem — kupcy lubią nań patrzeć. No, niejeden popatrzy— popatrzy, a no i akcik napisze!

— Proszę! Proszę! Wszak miał tysiące dusz! A jaka figura! Trzymał własną orkiestrę! Śpiewaków! Trzy trzylecia jako marszałek urzędował.

istoty zepsute i domagają się kary. Sąd wydaje wyroki, przechylając się na jedną lub drugą stronę. Sprobujmy z kilku stron węzeł ten rozwiązać.

Badania anatomiczne, dokonane na trupach gilotynowanych, wykazują w budowie ich mózgu znaczne odstępstwa i stany patologiczne. Świeżo prosektor Chudzyński (w Paryżu) odznaczył w swym opisie głowy słynnego zbrodniarza Menesclou bardzo ważne nienormalności. Psychologowie w swojej sferze porobili takież spostrzeżenia. Zbrodniarz — powiada Maudsley— popełnia występki nie z wyrachowania, ale z naturalnej skłonności. Dyrektorzy więzień prędzej lub później przekonywają się, że nałogowego kryminalisty poprawić niepodobna. „O, jak dobrze kraść! mówił do Chestertona jeden z więzniów. Gdybym miał miliony, chciałbym i wtedy być złodziejem.“ To też Maudsley dochodzi do następującego wniosku: „Rzeczywista reforma musiałaby zmienić naturę osobnika. Ale jak zmienić w ciągu jednego życia to, co się wytworzyło w ciągu całych pokoleń? Czyż murzyn zdołałby zmienić swą skórę a lampart swe plamy?“ Dr le Bon, godząc się w zasadzie na ten wniosek, dzieli przestępców na dwie kategorye: z usposobieniami do zbrodni dziedzicznemi i nabytemi. Do pierwszej należą jednostki organicznie ułomne i wiążące się w gałęziste drzewo rozmaitych przestępstw. Galton przytacza taką rodzinę zbrodniczą, składającą się z 540 członków. Obok nich istnieją osobniki bardzo liczne, które odziedziczają pewne usposobienia ujemne, ale te mogą ich doprowadzić zarówno do zbrodni, jak i do czynów przeciwnych. Ludzie ci ulegają jednako pierwszym pobudkom i zależnie od ich kierunku przechylają się na jedną lub drugą stronę. Do tegoż rzędu zalicza le Bon indywidua, nieposiadające żadnych skłonności występnych, lecz tak słabego charakteru i moralności, że czyny ich zależą od warunków. W dobrem otoczeniu są dobrymi, w złem — złymi, właściwie zaś są nijakimi. Wreszcie grupa ta obejmuje ludzi energicznych i rozumnych, którzy jednak mają instynkta przewrotne, a jeśli nie popełniają występków, to tylko z obawy kary. Moralność ich zamyka się w granicach kodeksu. Jest to gatunek bardzo niebezpieczny i niezdolny do poprawy.

Drugą klasę przestępców, według le Bona, stanowią jednostki, nieprzynoszące złych usposobień dziedzicznych, ale dochodzące do nich w życiu. Człowiek, z natury najuczciwszy, równie może popaść w tę klasę, jak stać się ofiarą cholery lub rozbitego pociągu. Paraliż, epilepsya i inne przypadłości, rozstrajające organizm, zdolne są z cnotliwego zrobić łotra. Niestety, ten rodzaj przestępców coraz bardziej wzrasta. W żadnym okresie historyi nabyte nadwyrężenia systematu nerwowego nie były tak częste jak dziś. Składają się na to rozmaite podrażnienia fizyczne i duchowe.

Rozpatrzmy teraz z le Bonem kwestyę ze stanowiska prawnego i społecznego. Oba te pola w teoryi na siebie zachodzą, lecz w praktyce się ograniczają. Niewątpliwie prawo jest formułą, streszczoną przez społeczeństwo i dla niego, oraz odpowiadającą jego potrzebom. Lecz z natury zachowawcze pozostaje zawsze za opinią. Ponieważ zaś sama ona dość późno ujmuje wymagania, zrodzone z przemian społecznych, przeto prawa, zpoczątku zupełnie zastosowane do potrzeb pewnych epok, nie odpowiadają następnie innym. Naprzód użyteczne, stają się pomału szkodliwe. Interesa prawne i społeczne, pierwotnie identyczne, potem się rozdzielają a wreszcie krzyżują. Działo się to zawsze, ale szczególnie w epokach nagłego postępu, do jakich należy właśnie doba dzisiejsza. To też kodeks karny pozostaje dziś w wielkiej niezgodzie z wymaganiami społecznemi.

Jest to prawdą niewątpliwą, że ze stanowiska socyalnego mniej idzie o to, żeby społeczeństwo było pomszczonem, aniżeli o to, ażeby dyło ochranianem. A czy ono jest ochranianem? Z urzędowych sprawozdań statystycznych widzimy jasno, że więzienie, ta główna sankcya prawa nowożytnego, jest instytucyą nadzwyczaj kosztowną, czyniącą jeszcze bardziej niebezpiecznemi jednostki, które w niem czasowo przebyły. Według p. Christophe'a, głównego inspektora więzień, wszystkie kryminały, areszty, domy badań i t.p. są klubami wrogów społeczeństwa, publicznymi zbiornikami skazańców, oskarżonych, włóczęgów, zbrodniarzów, złodziejów, ladacznic, którzy stowarzyszają się z sobą węzłami wspólności przestępstw. Francya więzi przeszło 100,000 winnych rocznie. Wychodzą oni z więzienia, nie mając żadnego innego zajęcia prócz spiskowania przeciwko społeczeństwu i szerzenia zbrodni w swem otoczeniu. „Jeżeli w okresie dziesięcioletnim — powiada prezes sądu kasacyjnego, Berunyer, dodamy liczbę więźniów, przechodzących przez nasze kryminały, przekonamy się, że przeszło milion mieszkańców naprzód pogrąża się w zbrodni i że ich utrzymanie kosztuje państwa więcej niż 130 milionów fr.“ Od chwili napisania tych słów liczba przestępców we Francyi wzrosła, a rzadkie stosowanie kary śmierci przyczyniło się także (jak wykazuje statystyka) do pomnożenia zbrodni. Słynny ekonomista Molinari, zrobił niedawno ciekawy rachunek niebezpieczeństw zbrodniarza w porównaniu z niebezpieczeństwami innych zawodów, a mianowicie górnika. Zważywszy — powiada on — liczbę corocznie popełnianych zbrodni, mały procent wykrytych sprawców (w Anglii i Belgii $^1/_4$), mały — schwytanych i ukaranych ($^1/_6$), wreszcie mały — straconych ($^1/_{36}$), dochodzimy do wniosku, że zawód zbrodniarza jest daleko mniej niebezpieczny niż górnika i że „towarzystwo asekuracyjne, któreby ubezpieczało morderców i robotników w kopalniach, powinnoby od pierwszych wymagać mniejszej opłaty niż od drugich.“ Zemsta więc, jaką społeczeństwo wywiera na przestępcach, jest nietylko drogą, ale nadto przez więzienia czyni ich niebezpieczniejszymi. Dobroczynnego wpływu kryminałów już dziś nikt nie broni. Przekształcone z gruntu, zamienione na szkoły i domy robocze (a wtedy przestałyby już być więzieniami) oddziałałyby korzystnie na natury nijakie, łatwo ulegające wpływom zewnętrznym, lecz wymagałoby to takiego nakładu pracy i inteligencyi, że kwestya łatwa do roz-

---

— Nie trzy — całych pięć!

— I teraz... jest pisarkiem!

— Tak, w kancelaryi siedzi u notaryusza... a duszność jaka! A przytem inni urzędnicy posyłają go często gęsto po wodę do traktyerni.

— No, a jego majątek?

— Majątek jego, Pantelej Jegorow, tutejszy gospodarz, kupił na licytacyi. Tak, darmo zabrał podlec. Dom zwalił, park wyrąbał, lasy spławił, inwentarz wyprzedał... Jakie się tam instrumenty zostały po muzykantach — zbył dla pułku. Nie poznasz pan Grieszyszczewa! Pantelej Jegorow przeszedł po nim, niby francuz! Pamięta pan, jakie tam były karasie w stawie — i te wszystkie co do jednego wyłowił, a w traktyerni chłopstwu sprzedał na porcye! Ile grosza wybrał — okropność!...

Swisnął, opuścił głowę i zamyślił się.

— No, a jakże pan, Nikiforze Pietrowiczu?

— Nie dobrze. To jest tak źle, tak źle, że gdybym zaczął opowiadać, to by wypadła w swoim rodzaju „Tysiąc i jedna noc.“ Ale jednak jakoś wegetujemy.

— Służysz pan?

— Nie, tak oto przebijam się, jak umiem. Zresztą, prawdę powiedziawszy, biedni z nas działacze. O, gdyby to nasze etatowe tuzy żyły — i nam byłoby jakoś poręczniej zwierzyć się przed nimi. Ale po nich zostały tylko mogiły, a nam, resztkom, nie bardzo dowierzają dzisiejsi naczelnicy!

— Pan byś powinien jeszcze służyć.

— Kłaniam się uniżenie. Dziś, proszę pana, sama młodzież w obiegu. Chemie i fizyki dziś wzięły górę, a my przecie przeżyliśmy latka bez chemii, a nadewszystko ufaliśmy w łaskę bożą. Nie zdaliśmy się. Takie to już dziś nastały czasy, że do cerkwi nie chodzą, a więcej, z przeproszeniem powiedziawszy, wierzą w ulepszenia.

— Czy pan tylko nie przesadza?

— Nie, wcale nie. Dziś wszędzie taka rozpusta, nawet duchowni — i ci stali się jakby niedowiarkami. Ot, pojechał panom, założ tu do radców ziemskich pewien ksiądz, i wnet, panie, przy całej publice wrzasnął: Podać mi cyfry! Cyfry! W nic prócz cyfr nie uwierzę! I to osoba duchowna!

— Tak, tak rzeczywiście! Ojciec Spiridon Błagosłonow, proboszcz parafii Bekotowa. Stąd wiorst dziesięć będzie.

Słowa te wymówił ksiądz, który przybył z Tierpibiedowem. Był to człowiek już nie młody, niewielkiego wzrostu, utuczony, z wielką, prawie łysą głową, którą trzymał, nieco pochyloną w tył. Charakterystycznym szczegółem jego płaskiej twarzy były szerokie, rozwarte nozdrza, które, że tak powiemy, określały całą jego fizyognomię. Wszystko zresztą tonęło w jakimś ryżawo-białawym kolorycie. Małe, na pół przygasłe oczy spoglądały przez okulary i zdawało się, że nic nie widzą; cienkie, blade wargi ledwo otwierały się nawet wtedy, gdy mówił. Rzadkie jasnorude włosy na głowie wisiały w nieporządku; na brodzie i wąsach prawie wcale włosów nie było. Mówił poważnie i przyjemnym basem, ale w głosie brzęczała wydatna usłużna nutka, która wprawiała w ambaras. Wogóle, była to jakaś zagadkowa istota, której widok wzbudzał obawę.

Nawet Tierpibiedow, przy całem wyznaniu swej bezwarunkowej dobromyślności, lękał się go i na pozór znajdował się pod jego silnym wpływem, co jednak nie przeszkadzało mu dość ostro wykpiwać swego mentora. Pomimo czerwcowego upału, ksiądz miał na sobie długą sukienną sutannę, mocno wybladłą i zakurzoną.

— Rekomenduję! — przedstawił go nam Tierpibiedow: — ojciec Arseniusz, były proboszcz naszej parafii, a dziś ksiądz zabroniony. Przez podszczucia, a więcej za skargi. Do dwudziestu parafij zmienił w swem

wiązania teoretycznie, stałaby się niemożliwą praktycznie. Obecne zatem prawo kryminalne zamiast osłaniać społeczeństwo, wychowuje dlań gromady nieprzyjaciół. — Jakiż środek zaradzenia złemu? Społeczeństwo — odpowiada le Bon — powinno starać się wszelkiemi siłami o wyparcie ze swego łona żywiołów szkodliwych. To znaczy: trzeba przestępców wysyłać do odległych krajów (Afryki, Australii i t. d.). Jestem pewien — mówi autor — że przyszłe prawodawstwo, pojmując prawa dziedziczności oraz zależności czynów człowieka od jego ustroju fizycznego, porzuciwszy czcze rozprawy nad poczytalnością i uprzytomniwszy sobie potrzebę obrony społeczeństwa, zamknie więzienia i użyje marnowanych dotąd milionów na wysyłkę niepoprawnych zbrodniarzów do ziem oddalonych, półdzikich. Co do przestępstw drobnych, te możnaby karać pieniężnie, przymusową pracą lub służbą wojskową, rzeczywiście zaś obłąkanych należałoby na całe życie (nie jak dotąd na czas pewien) osadzać w szpitalach.

W sprawie tej, według le Bona, kwestya odpowiedzialności lub wolnej woli nie ma żadnej wagi; a jeżeli dotąd sędziowie zajmują się nią, to dla tego, że nie myślą o obronie społeczeństwa, lecz o zemście. Gdy mnie ukąsi pies wściekły, nie zastanawiam się nad jego poczytalnością, lecz go zabijam. Niewątpliwie wszyscy przestępcy są nieodpowiedzialni w tem znaczeniu, że natura i warunki życia zmusiły ich być przestępcami; ale czy powinni zasługiwać na większą litość, niż tysiące niewinnych ofiar wojny, ginących często za sprawę, której nie rozumieją lub nie podzielają? Dla czego pomordowani mają nas mniej obchodzić niż mordujący? Występek jest zarówno niezależnym od jednostki, jak brzydota i piękność, idyotyzm i rozum, choroba i zdrowie; a przecież natura i ludzie karzą nas lub nagradzają za te przymioty i wady.

„Ostateczny więc nasz wniosek taki: wszyscy przestępcy bez wyjątku są odpowiedzialni, społeczeństwo zaś ma obowiązek bronienia się przeciwko nim. Teorya ta nie znajdzie dziś zwolenników, należy ją też uważać jako prawdę przyszłości, lecz jako prawdę, która będzie banalną za lat pięćdziesiąt."

Taki jest wywód le Bona.

Pomijając zbyt skrócony termin spełnienia się tej wróżby oraz zbytnią ufność autora dla szczupłych cyfr statystycznych, najsłabszym punktem jego rozumowania jest właśnie to, co innym zarzuca, mianowicie trudność praktyczna. Teoretycznie argumentacya le Bona jest bardzo silna. Rzeczywiście, fizyologia uczy nas, że ustrój mózgowy przestępców wykazuje zboczenia, psychologia dowodzi niemożności istnienia wolnej woli, kryminalistyka ujawnia szkodliwy wpływ więzień, wyzwolona wreszcie z przesądów etyka, znosząc wszelką odpowiedzialność psychologicznie, zobowiązuje do niej jednako wszystkich społecznie — pozostaje więc tylko jedna droga ratunku — usunięcie żywiołów *szkodliwych*. Ale właśnie autor zapomina o trudności a nawet niemożliwości sprawiedliwego oznaczenia w każdym wypadku, kto jest szkodliwym. Z jednej strony bowiem prawo niezawsze może wykryć z bezwzględną pewnością istotny udział oskarżonych w przestępstwach, a z drugiej — wyroki jego, ulegające poglądom czasu i warunkom zewnętrznym, karzą nieraz takie czyny, które w innym czasie i w innych warunkach są nawet szanowane. Gdyby zasada le Bona była już stosowana od wieków średnich, dotknęłaby ona ludzi, którzy i bez niej zginęli na stosach lub w więzieniach, ale których autor zpewnością nie uznaje za szkodliwych. Jeżeli zaś we Francyi cywilizacya rzuciła na moralną wartość czynów jaśniejsze światło, to nie należy zapominać, że w innych krajach spoczywa jeszcze na nich mrok dawniejszy. W pewnym stopniu Rosya zastosowała zasadę le Bona, nie zebrała z niej jednak pomyślnych owoców.

Niezależnie od tych trudności praktycznych, obniżających rozumowanie le Bona, należy ono, zdaniem naszem, do najgruntowniejszych teoretycznie poglądów, jakie w tym przedmiocie odzywają się. *H.*

PAWEŁ EMIL LITTRÉ.

(1801—1881.)

„Badając rozwój umysłu ludzkiego, od najpierwszych i najprostszych usiłowań aż do naszych czasów, sądzę — powiada A. Comte — że wykryłem zasadnicze prawo, któremu rozwój ten podlega siłą nieprzepartej konieczności." I jakież to prawo? „Każda gałąź naszej wiedzy przechodziła lub przechodzi stopniowo przez trzy różne teoretyczne stany: *teologiczny* albo złudzeniowy, *metafizyczny* albo oderwany i *pozytywny* albo naukowy. Innemi słowy: umysł ludzki używa kolejno w każdem ze swych badań trzech metod filozoficznych, których charakter jest zasadniczo odmienny a nawet krańcowo przeciwległy, mianowicie: naprzód metody teologicznej, następnie — metafizycznej a wreszcie — pozytywnej. Stąd wypływają trzy rozgałęzienia filozofii, trzy kierunki systematów, obejmujących różne poglądy na ogół zjawisk a wyłączających się wzajemnie: pierwsza z tych trzech filozofij jest pierwszem koniecznem wyjściem dla rozumu ludzkiego, druga stanowi przejście, trzecia zaś tworzy ostateczny i trwały systemat." W stanie pozytywnym (w którym obecnie się znajdujemy) umysł ludzki, poznawszy niemożność osiągnięcia pojęć bezwzględnych, nie śledzi początku i przeznaczenia wszechświata, nie bada wewnętrznej przyczyny zjawisk, lecz złączywszy zdolność spostrzegania ze zdolnością rozumowania, odkrywa jedynie prawa zjawisk, to jest niezmienne stosunki w ich następstwie i podobieństwie. „Najwyższa (nieosiągnięta) doskonałość systematu pozytywnego polega na możności przedstawienia sobie wszystkich zjawisk znanych, jako szczegółowych przypadków jednego faktu ogólnego!

Obok tej podwaliny Comte założył drugą — *klasyfikacyę nauk*. Ustawia on je naprzód w dwa szeregi: abstrakcyjne i konkretne. Szereg drugi obejmujący: mineralogię, botanikę i zoologię — umiejętności jeszcze, zdaniem filozofa, nierozwinię-

---

życiu, nigdzie nie wytrwał, a teraz zupełnie skapcaniał!

Przy takiej nieoczekiwanej atestacyi, ojciec Arseniusz milcząc mrugnął swemi niepatrzącemi oczyma w stronę Tierpibiedowa. Pod wpływem tego wzroku rozgadany kapitan zesztywniał nagle i zmięszał się. Porwał ze stołu podróżny cybuch, wyjął z kieszeni zatłuszczony kapciuch i zaczął pośpiesznie nakładać tytoń.

— Mówcież dalej, Nikiforze Piotrowiczu! — poważnie wymówił ojciec Arseniusz — powiedziałeś pan „za skargi"... wytłomacz że pan, jakiego rodzaju i z jakich powodów wynikały tak zwane przez pana skargi?

— Nie, sługa uniżony, jeszcze i na mnie napiszesz skargę! — spróbował odciąć się Tierpibiedow. — Oto, panie — zmieniając rozmowę, zwrócił się do mnie: — dziś i fajkę sam muszę zapalać! A *dawniej* czyż się to zdarzało kiedykolwiek? Proszka! Venez ici — i fajka w zębach!

— Rzeczywiście, dawniej lenistwo i darmozjadztwo były w ogromnem poszanowaniu! — uszczypnął ojciec Arseniusz.

— Tak, panie, miewaliśmy swoje czasy! swoje dobre czasy! — ciągnął Tierpibiedow, jakby nie słysząc uwagi księdza: — więc to i pan zebrał się odwiedzić rodzinne gniazdo? To pięknie. Lasku odrobinkę spuścić, rozporządzić ugorami — wszak wypadnie!...

— Ale powiedz kapitanie, wszak i pan miałeś folwarczek w sąsiedztwie?

— A jakże, a jakże! I dotąd mam. Tylko dawniej nazywałem go Monrepo, a dziś nazywam Monsufrans.

Nie mogę inaczej. We wszystkich izbach wilgoć! Zeszłej wiosny przyjąłem na swe barki wszystkie deszcze; proboszcz bo to nazywa przepysznem oczyszczaniem powietrza!

— Tak, tak — wtrącił ojciec Arseniusz. Wiosna w tym roku przyczyniła się do pięknego wzrostu jarzyn. Kapusta, ogórki dotąd rosną w całym blasku. Ale kto ma popsuty dach, ten naturalnie musi znieść mnóstwo przykrości.

— Wszelako przecierpiałem. Już dawno chciałbym zbyć to moje Monrepo, ale jakoś nikt kupić nie chce. Pantelejowi Jegorowowi proponowałem: kup, powiadam, tobie wszystko jedno, czyją krew ssać! Nie, nie chce! Twoje, powiada, Monrepo, nie dla ludzi, ale dla żab! Tak to, panie, dziś chłopy rozmawiają ze swymi panami!

Pociągnął haust dymu i zdało mi się, że mu coś wewnątrz zaryczało.

— Takie to nasze życie, — ciągnął dalej. I to są dawne, panie, sługi! A co najważniejsza — nie możemy tego zapomnieć. Gdyby nam Bóg zesłał dar zapominania, jakoś byłoby lepiej. Rozebrałbym chałupy, zbudował jedną za jakie dwieście rubli, nadział szlafrok, fajkę nałożyłbym tytoniem... Królestwo, panie! Tymczasem nie — zawsze się jakoś chce lepiej. I saloniczku i gabinetu, albo coś podobnego: — „madame permettez bonjour!"

„Hej, służba, kieliszek sznapsa i zakąskę!" Oto, co nas krzepi panie. A nie żyj tak! Gdzie zaś, — życie takie grunt!

— Jeszcze dobrze, kapitanie, żeście humoru nie stracili! — uśmiechnąłem się.

— Proszę pana — tutaj teatru nie potrzeba, nigdy się nie można nudzić — dodał ojciec Arseniusz. Tylko kapitan w języku jest trochę niepowściągliwy.

— Aha, będziesz tu teatry przedstawiał, kiedy upał, panie, smaży, a decydent pryśnicuje! Poddajemy się! Cierpimy i milczymy! W cierpliwości chcemy umacniać dusze nasze... prawda ojcze wielebny?

— Naturalnie, przy dziurawym dachu i to pociecha!

— Słowem, dawniej lepiej się żyło, nie prawdaż, kapitanie? — drażnił Kołotow.

te, nie zwraca jego uwagi, która głównie pada na nauki abstrakcyjne. Odpowiednio do historycznego następstwa, zależności przedmiotowej, stopnia powikłania zjawisk i ich powszechności, przyjmuje następujące gałęzie wiedzy: matematykę, astronomię, fizykę, chemię, bijologię i socyologię.

Taki jest zrąb filozofii Comte'a, znanej pod nazwą *pozytywnej*.

Po śmierci mistrza, który, jak wiadomo, teoryi swojej nadał sztywność dogmatyczną, utworzyła się z jego uczniów szkoła, która z religijną czcią i wiarą w jego nieomylność zaczęła objaśniać i depełniać pozostawioną im do rozpowszechnienia ewangelię. W liczbie tych apostołów najgorliwszym i najwierniejszym z nich był Paweł Emil Littré. W r. 1845 wyłożył on nową filozofię w traktacie p. t. *Analyse raisonnée du cours de la philosophie positive*. Następnie w r. 1870 założył wspólnie z Wyrubowem dotąd istniejący miesięcznik p. *Philosophie positive*, wreszcie wydał szereg rozpraw, będących bądź katechizyacyą pozytywizmu, bądź jego zastosowaniem do polityki i socyologii. We wszystkich tych pracach trzymał on się wiernie zasad Comte'a, a nawet w szerzeniu ich objawił pewną manię. Jak Zola wszystkie zagadnienia wieku stara się rozwiązać przez *naturalizm*, tak Littré do wszystkiego przystępował z formułą pozytywistyczną. Historya o trzech stanach, powtarzana na rozmaite sposoby i w rozmaitych wypadkach, wyglądała na *idée fixe* umysłu, uwięzionego w dogmatyzmie filozofii, której najgłówniejszą zaletą było właśnie wyzwolenie myśli od dogmatyzmu. W miesięczniku, ożywianym przez Wyrubowa, obok rozpraw nader ważnych, pojawiały się artykuliki Littrego, powtarzającego po raz setny też same twierdzenia. Był on też w końcu starym Jowialskim pozytywizmu. Podczas gdy dzieła Milla, Spencera, Huxleya i innych wykazywały słabe strony pozytywizmu, Littré powtarzał ciągle: znacie tę bajkę?... posłuchajcie.

Ze względu na zależne, nawet rzec można — poddańcze stanowisko filozoficzne zmarłego, należy mu się to uznanie, jakie, z potrąceniem naturalnie praw oryginalności, przypada Comte'owi. Pozytywizm w tej pierwotnej formie jest systematem, który dał silną oporę filozofii, ale wykroił dla niej podstawę za szczupłą. To też mimo zamykającego grunt badania ostrokołu, pozytywizm po za granicami sekty musiał rozszerzyć swe pole a nawet zmienić nazwę. Filozofia *krytyczno-naukowa* jest dziś sferą, w którą weszli najgenialniejsi myśliciele i pociągnęli za sobą duchy niepodległe. Podwaliny kantyzmu połączyły się z podwalinami comte'yzmu i na tym zrębie przy pomocy nauk przyrodniczych wzniósł się gmach filozofii nowszej, która przerosła littre'owską chatkę.

O ile w systematyce filozoficznej Littré zacieśnił swój widnokrąg, o tyle potężnie rozszerzył go w swych naukowych badaniach. Pod względem wszechstronności jest on nawet zjawiskiem w literaturze wyjątkowem. Lekarz z ukształcenia i zawodu, położył nieśmiertelne zasługi na niwie badań historyi literatury i mowy ojczystej. Jako autor rozpraw o poezyi (*La poèsie homerique et l'ancienne poèsie française*), jako członek i współpracownik komisyi, zajmującej się wydaniem historyi literatury francuskiej, jako redaktor pism peryodycznych (*Journal des savants*) stawał przy rozmaitych pługach, na pozór mu obcych, i zawsze ujmował je dzielnie. Tytułem największej jego chwały jest *Dictionnaire de la langue française*, w 4 tomach (1863—1871), opracowany na podobieństwo naszego Lindego a zawierający cały skarbiec mowy francuskiej. Wydany później w skróceniach, stanowi dziś powszechnie używany podręcznik. Praca ta dostarczyła mu materyału do innej, także znakomitej *Histoire de la langue française* (1862). Dwa te dzieła długo utrzymają w historyi literatury francuskiej imię Littré'go.

Poświęcając swe siły filozofii, filologii i badaniom nad poezyą, wreszcie licznym tłomaczeniom, nie zaniedbywał specyalności zawodowej—medycyny. Oprócz przekładu dzieł Hipokratesa wydał szereg broszur lekarskich, świadczących o jego czujności i bystrości w tej dziedzinie.

A jednak ta szeroko rozlewająca się działalność nie wyczerpywała jeszcze jego życia. Littré przyjmował żywy udział w polityce. Każda rewolucya porywała go w swój wir i zwykle rozbijała jego demokratyczne marzenia. Podczas oblężenia Paryża przyjaciele skłonili starca do opuszczenia stolicy, a Gambetta mianował go profesorem historyi i geografii w jednej ze szkół politechnicznych na prowincyi. Po wojnie departament Sekwany wybrał go na posła do Zgromadzenia Narodowego, a następnie wszedł on do rady generalnej. W r. 1878 został senatorem, zasiadając zawsze na lewicy.

Do sławy Littrego, mimo woli, przyczynił się także biskup Dupanloup. W r. 1863 zamknął on mu swymi gromami wejście do Akademii, a gdy wreszcie Littré w r. 1871 został jej członkiem, pobożny mąż starał się go zohydzić przynajmniej za drzwiami. Zyskał na tem bardzo wiele... wyklęty.

Grób otworzył się przed strudzonym badaczem w 80 rocznicę jego urodzin. Francya nie straciła człowieka, któryby jej jeszcze coś obiecywał, ale straciła pracownika, który ją umysłowo wzbogacił i którego śmiercią swoją uprzytomnił jej odrazu wszystkie swoje zasługi. Na jego nagrobku może ona bez nekrologijnej obłudy wyryć słowa głębokiej wdzięczności.

I. A.

LEOPOLITANA.

IX.

Rozpisałem się w poprzednich numerach (19, 20, 21) szeroko o p. Lamie, bo pragnąc wam skreślić obraz literackiego ruchu w naszej dzielnicy — o ile to w możności mojej — jaknajdokładniejszy, musiałem koniecznie wspomnieć o tym autorze, będącym, bądź co bądź, jednym z najwybitniejszych w ruchu tym przodowników. Zwróciwszy raz oczy w jego stronę, nie podobna mi było zbywać kilkoma słowy długoletniej jego działalności, nie wy-

---

— Dawniej... ho, ho, dawniej!

Tierpibiedow jak gdyby wygrzmiał to zdanie, a nawet zachwiał się ze wzruszenia.

— Dawniej, moi panowie, prawdziwych sług ceniono — ciągnął dalej, jąkając się przy każdym wyrazie: — a dziś prawdziwe sługi...

Urwał nagle, jak gdyby czując, że niepatrzący wzrok ojca Arseniusza spoczywa na nim. I rzeczywiście wzrok ten jak gdyby mówił: pal, pal głupstwa — twoje słowa, moje — papier i pióro. Dlatego też bardzo na czasie wniesiono herbatę.

— Jaką mam dla pana rybkę, Siergiuszu Iwanowiczu, — zwrócił się Tierpibiedow do Kołotowa:

— Jeżeli już ta nie będzie panu smakowała, to próżnobyś nawet po całem dnie rzeki szukał.

— Jesiotrzyk, co się nazywa,—miękо, a nawet prawie dobrotliwie objaśnił ojciec Arseniusz, dmuchając na spodek i cmoktając trzymany w ustach cukier.

— Wiem, pisaliście, kapitanie. Zdaje się, pan Parnaczajew.

— To jest, właściwie ja pisałem, a kapitan raczył tylko stwierdzić swoim podpisem — zauważył ojciec Arseniusz.

— Parnaczajew! Czy nie syn Pawła Mikołajewicza? Ależ on tu w ziemstwie, o ile się zdaje? — zapytałem.

— On sam. W ziemstwie, tak. Szajkę sobie zebrał różnej zbieraniny... rozdał im wszystkie miejsca i trzyma powiat w oblężeniu. Wkrótce doczekamy się, że będą rozbijali na otwartych drogach. Stowarzyszenia, banki, komuny... I to szlachcic! Szlachcic, panie, a jakiemi zajmuje się sprawami! Lepszy, panie, odemnie!...

— W istocie mogę zaświadczyć. Wiele niewinnych dusz zbałamucił Waleryan Pawłowicz, a nawet można powiedzieć, cały okrąg zaraził swym bluźnierczym oddechem, — sentencyjnie potwierdził ojciec Arseniusz.

— Aj, należałoby tych długogrzywych dobrze, panie,... zawsze nie tak by już było! A to, panie, szlachcic!

— Kapitan, zanadto się o naszym stanie źle wyrażasz — obraził się ojciec Arseniusz — proszę, przestań pan!

— No, ojczulku, wybacz! A że oni długogrzywi, to fakt; mało mieliśmy przykładów?

— Najuprzejmiej upraszam, przestań pan!

— Za pozwoleniem panów! Nie w tem rzecz! Cóż właściwie robi pan Parnaczajew, że tak oburzacie się na niego? Niech kapitan naprzód wytłomaczy.

— Wszystko robi. Komuny robi, doradza proletaryat, rozrzuca proklamacye... wszystko, słowem, całą truciznę!

— A co najważniejsze nie idzie drogami, wskazanemi przez Opatrzność, — objaśnił ojciec Arseniusz. Według niego, naprzykład, deszcz nie jest od Boga, ale z obłoków, a obłoki skąd się wzięły?...

— Wprost nie rozmawiałem z nim wprawdzie, ale od chłopstwa słyszałem wiele rzeczy. U włościan tutejszych, proszę panów, już oddawna jest taki zwyczaj: czy to długa niepogoda, czy posucha — jedynem na to lekarstwem jest zawsze dla nich nabożeństwo. Dotąd zgadzali się na to zupełną gotowością, a dziś nosami kręcą. Przeszłej wiosny zalało nas prawie zupełnie: ja rzeczywiście sam nawet zaproponowałem, czyby nie należało zakupić nabożeństwa. A oni na to: — wszak deszcz pada z obłoków — cóż to, chcesz obłoki zagadywać? Skąd, proszę mi powiedzieć, takie dzikie myśli mogły im przyjść do głowy?...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

tłomaczywszy dostatecznie powodów, które mnie skłoniły sądzić o niej tak, a nie inaczej. Tuszę, iż mi tę nieco przydługą wybaczycie wycieczkę; jeżeli bowiem powieść jest owym przewodem, za pomocą którego siew duchowy najsnadniej wnika w umysły, a jak ktoś trafnie powiedział — na obliczu powieści najwyraźniej odbijają się duchowe prądy ożywiające społeczeństwo w pewnym danym okresie, — to słusznie się należy obszerniejsza wzmianka p. Lamowi, który w zastępie naszych powieściarzy tak wybitne zajmuje stanowisko. Sąd mój o jego posiewie wypadł surowo; nie przeczę! — niestety jednak utwierdzają mnie w nim owoce na roli p. Lama wyrosłe, którym się przypatruję od lat tylu. Był to siew kadmejski; powtarzam to raz jeszcze! — mimo to nie należy siewaczowi wyłącznej przypisywać winy. Jest on bowiem — jak każdy zresztą człowiek — iloczynem tylko swych osobistych właściwości, pomnożonych przez te stosunki, wpośród których żyć mu wypadło. Wyrwijcie tego pisarza, odznaczającego się tak pierwszorzędnemi zdolnościami, tak bystrym i wszechstronnie wykształconym umysłem, i tak szczęśliwym temperamentem, z owej odurzającej atmosfery fałszu i obłudy, w której marnieć nam dziś każe nieubłagana konieczność; — postawcie go *caeteris paribus* w zdrowszych warunkach, dozwólcie piersi jego szerszego oddechu, odwróćcie oczy jego od maleńkich celików naszej prowincyonalnej niby—polityki ku rozleglejszym widnokręgom, ku słońcu, — a przekonany jestem, że pierś jego świętym zapłonie żarem, i że duch jego, rozwinąwszy swe potężne skrzydła, popłynie przed narodem słonecznymi loty, znacząc innym drogę do postępu i doskonałości. Atoli taką już jest klątwa, ciążąca na dzisiejszem pisarskiem w Galicyi pokoleniu, że się fatalnie błąkać musi w onem zaklętem kole, które u nas duchowi stworzyła ślubna z Austryą intercyza, i nic dziwnego, że wniesione przez nią zarazki najsilniej właśnie oddziaływają na najwraźliwsze, a zatem wybrane umysły.

Obok p. Lama najpoczytniejszym u nas powieściarzem jest autor *Kłopotów starego komendanta*, który na sztandarze swoim otwarcie wypisał godło: *ludere!* a ograniczając swoje pragnienia wyłącznie do tego skromnego zakresu, jaki mu wytyka urząd uprzywilejowanego bawiciela czytelników c. k. urzędowej *Gazety lwowskiej*, jako taki mniej jest szkodliwym od swego poprzednika. Specyalnością *Starego komendanta* jest opiewanie starych kłopotów, starych szlacheckich mamutów, — epos kopalnego moszterdziejskiego safandulizmu! W tej mierze doprowadził *Komendant* do istotnego wirtuozowstwa, zna on bowiem dokładnie anatomię tych paleontologicznych okazów, i jest w stanie — świadkiem tego świeżo u Gubrynowicza wyszłe *Szlacheckie sielanki*—rozwodzić się przez pół grubego tomu nad dolą liczy-krupy szlachcica, który „zdźwigawszy się podnosząc dla przykładu pół korca pszenicy," leży jako ofiara swej „energii" na łożu boleści, obsługiwany przez głupkowatą Kachnę czy Marychnę, trapiony przez również głupkowatą klucznicę, i wystawiony na nieproszoną opiekę natrętnych, jak muchy w lipcu, sąsiadów i sąsiadek. Facecye tego rodzaju z realistyczną prawdą i jowialnym opowiedziane humorem, mogą być istotnie wielce ciekawe i pouczające dla szlachciców, którzy byli i są, lub też mogą być w podobnem położeniu, — lecz dla nas, niemających potrzeby imponować „energią" gumiennym, i podejmować się podobnych gimnastycznych ćwiczeń, jakiż stąd pożytek? Podziwiać więc tylko można niespożytą werwę autora, która go wobec tak błahego przedmiotu nie opuszcza ani na chwilę, podczas gdy — jak wiadomo — sam Homer ślepy, opiewając temat daleko wznioślejszy, bo walkę nieśmiertelnych bogów, popadał niekiedy w drzemkę podczas opowiadania!

O facecyach, któremi nas zasypuje *Stary Komendant*, wytrząsając je, jak gdyby z rękawa, krąży tu u nas przeniesione z nad brzegów Wisły podanie, iż są tak jak kozik „durnego Jaśka," którego (kozika) ostrze było własnością Maćka, a trzonek własnością Jacusia, i że czytając te szlacheckie dykteryjki, możnaby co kartka, ba nawet co stronica wołać: trzymaj złodzieja! łapaj!" gdyby rzecz wartą była takiego hałasu. Co do mnie, sądzę, iż zarzut ten jest niewłaściwym i nie czyni ujmy *Komendantowi*, wolno jest bowiem mojem zdaniem autorowi dopuszczać się *pożyczki* u innych pisarzów, tak jak to czynili Molière, Szekspir, Fredro, Słowacki w *Mazepie*, Mickiewicz w *Farysie* i t. d. Chodzi tylko o to, by pożyczka ta obróconą została na melioracyę własnego gospodarstwa, aby sprowadzone żyto szampańskie nie zostało sprzedane kupcom jako produkt własny;— należy nim obsiać własne zagony, zaaklimatyzować na własnej glebie, a zbiór, w ten sposób osiągnięty, może już potem iść na handel jako towar własnej produkcyi.

Co się tyczy płodów, które w świat puszcza *Komendant* jako krescencyę własnego folwarku, o tych śmiem twierdzić, że jeżeli istotnie z własnych wyrosły sadzonek, to jednakże zaaklimatyzował je autor na własnej niwie, — wszystkie bowiem jego dykteryjki noszą piętno tego samego na świat poglądu i tej samej pisarskiej indywidualności. Chodzi mi raczej o wartość tego w obieg puszczonego towaru, z którego mąki nie będzie, i którego przeto — jeżeli jest aklimatyzowanym, dopprawdy aklimatyzować nie było warto. Cóż nas bowiem obchodzić mogą losy i filozoficzne rozpamiętywania takiego „zdźwiganego" moszterdzieja? — tyle chyba ile nas obchodzą, również w swoim rodzaju dowcipne, rozprawy scholastyków nad zagadnieniem: w jaki sposób Chrystus byłby uskutecznił dzieło zbawienia, gdyby na świat przyszedł był w postawi majowego chrząszczyka? Dla nas, którzy w sejmie widzimy szlachtę naszą, kreślącą *macte animo* pozycye szkolnego i szpitalnego budżetu, na to, aby prowizorycznej autonomii naszej wystawić gmach monumentalny, — którzy ją widzimy uparcie obstającą przy propinacyjnym przywileju, podczas gdy arendarz coraz bardziej lud rozpaja, — którzy ją widzimy opierającą się reformie średniowiecznej naszej ustawy drogowej, zwalniającej szlachtę na niekorzyść kmieci z znacznej części obowiązków konkurencyjnych prestacyj, — dla nas powtarzam, którzy mamy sposobność przypatrywać się jak te społeczne grzechy na niekorzyść naszą wyzyskuje wroga nam agitacya,—ciekawszem by nierównie było dowiedzieć się, jakiem jest zapatrywanie takiego chociażby nawet niekoniecznie „zdźwiganego" szlachcica na sprawę postępu, oświaty, ludowego dobrobytu, sprawiedliwości? na te, co na nim ciążą, obywatelskie obowiązki? i jak sobie szlachcic taki wyobraża tę przyszłość, którą uporem swym i małodusznością krajowi gotuje? Niestety jednak są to pytania, których *Staremu Komendantowi* stawić nie można. Piastując bowiem urząd uprzywilejowanego bawiciela czytelników c. k. urzędowej *Gazety lwowskiej* musi on koniecznie śpiewkę swoją dostrajać do kamertonu namiestniczej Egeryi, i pilnie baczyć, by nie urazić drażliwych uszów spać chcących hofratów.

Wspomniałem tu z umysłu o *Starym Komendancie* i o urzędowej *Gazecie lwowskiej*; pierwszy bowiem jest głównym dostawcą powieściowej papki dla czytelników namiestniczego organu i typem nowoczesnych naszych nadpełtwiańskich Ibusiów, podczas gdy druga, posiadając dziś u nas wyłączny niemal przywilej oryginalnego fejletonu, i zawładnąwszy w ten sposób całą prawie w Galicyi literacką produkcyą, stała się rodzajem galicyjskiego Hotelu Rambouillet i króluje dziś niemal już wszechwładnie w dziedzinie naszego piśmienniczego ruchu. Mamy tu więc — *risum teneatis!* — pocieszne widowisko c. k. austryackiego hofrata, stojącego w mundurze i pierożku, jako Cherub świetlany, na straży polskiego narodowego tuiera, i „pautrującego *rechts und links*, czy się tam coś *staatsgefährlich* nie rucha w tym żniczu, gdzie *verfluchter Schreibpolak* składa „broń swego rycerza, swych uczuć pręgę i swych myśli kwiaty." Arka ta stoi dziś już żadnym nie zachwiana ciosem, liczy bowiem obecnie przeszło 3.000 abonentów, t. j. tyle właśnie, ile razem wziąwszy, obydwa nasze niezawisłe dzienniki, z którymi *Gazecie lwowskiej* walkę ułatwia przywilej, zwalniający urzędowego wajdelotę od dziennikarskiego stempla. Dzięki temu przywilejowi może fabryka urzędowej opinii publicznej wyrób swój w handel po niższej puszczać cenie, aniżeli to czynić mogą inne, stemplem obciążone, dzienniki. I rzeczywiście też, skutkiem tej nielojalnej konkurencyi, którą w ten sposób rząd niezależnej robi opinii; cena prenumeraty urzędowego koranu ma się do prenumeraty niezawisłych pism codziennych jak 16 do 24, której to okoliczności organ namiestniczy wzięcie swe także po części zawdzięcza. Jeśli tedy zważymy, że — jak się samo z siebie zresztą rozumie — nie dziennik, lecz właściwie prenumerator stempel dziennikarski opłaca, natenczas przedstawi się nam stosunek, chińskim tym przywilejem wytworzony, w ten sposób, iż rząd każdemu, który mózg swój duchowej inkubacyi urzędowego wajdeloty poddaje, *de facto* za tę „wygodę," roczną pensyę w kwocie 3, wyrażnie trzech guldenów wypłaca! Jestto więc uidealizowane *Jus primae noctis*, i przeniesiona w sferę duchową prostytucya!

Nie mniej wespazyańskiem jest i drugie źródło dochodów, na którem oprócz prenu-

meraty c. k. urzędowa *Gazeta* był swój opiera. Jest nim monopol przymusowych urzędowych ogłoszeń, któremu spadkowe pertraktacye, pozwy sądowe, konkursy, licytacye, i inne tym podobne owoce galicyjskiej nędzy obfitego dostarczają żeru. Należytości, za ogłoszenia te przypadające, ściągają z biedactwa sądy drogą przymusu z nieubłaganą surowością; — i tak tedy jest wiadomy, c. k. Cherub, „stojący na straży“ i t. d., ową arką, „w którą lud składa nietylko broń swego rycerza, swych uczuć przędzę i swych myśli kwiaty,“ ale też i krwawy grosz wdowom i sierotom wydarty. Cokolwiekbądź i jakiemikolwiekbądź są źródła dochodów urzędowego monitora, dość na tem, że posiadając decydujący w dzisiejszych czasach *nervum rerum*, może *Gazeta lwowska* współpracownikom swoim ofiarować lepszą zapłatę, aniżeli to uczynić mogą inne, mniej dobrze zagospodarowane dzienniki; a że, jak powiadał cesarz Wespazyan, *non olet!* i nie każdy ma węch drażliwy, więc też gromadzą się dziś pod jej sztandarem niemal wszystkie w kraju zdolniejsze pióra. Przyznać potrzeba, że swoje pomiędzy braćmi Apolina wzięcie zawdzięcza namiestniczy organ także tej okoliczności, iż jest od pism niezależnych przyzwoiciej i staranniej redagowany. Ale w tem też właśnie leży główna *Gazety lwowskiej* szkodliwość! Jak dziś rzeczy stoją, nie wahają się już najlepsi w narodzie oddawać mózg swój urzędowej Egeryi w usługę; owszem, nawet poczytują sobie niektórzy z nich jako zaszczyt, iż płodami swemi zasilają fabrykę urzędowej opinii publicznej. Skutkiem tego wzrasta wartość literacka i wzięcie namiestniczego organu, a tem samem wzmaga się też i wpływ jego na umysły — objaw mogący tylko zasmucić tych, którym na sercu leży postęp i dobro kraju! Jeżeli bowiem prawdą jest, co powiedział Pascal, że cała nasza wartość moralna zależy od naszego sposobu myślenia, to cóż więcej przerażającego nad widok społeczeństwa, żyjącego w naszych warunkach, a zrzekającego się samodzielnego myślenia i oddającego mózg swój rządowi w arendę? Słusznie też powiedział jeden z tutejszych humorystów, że kraj, który przyzwyczaja się myśleć tak, jak z natury rzeczy koniecznie myśleć musi organ urzędowy, przestaje być krajem, a staje się kredensem!

Nie potrzebuję, zda mi się dowodzić, że wiadomy wam już wzgląd, aby się chałupka nie zawaliła, przestrzeganym być musi w łamach urzędowego monitora ostrzej niż gdzieindziej, że przeto autorowie pod znakiem jego w szranki występujący głos swój koniecznie obniżać muszą do takiego diapazonu, ażeby przypadkiem nie przerwać snu mniej lub więcej jaśnie oświeconych ekscelencyj, pragnących trawić w spokoju ducha smaczny obiadek i zasiadających w tym celu, przy czarnej kawie, do czytania *Gazety*. Powstaje w ten sposób literaturka niewinna, potulna, wymuskana, nie wymagająca od czytelnika wysiłku myśli, mogąca z równem zajęciem być czytaną we Lwowie jak i w Pekinie, a całkiem podobna do cichego szeptu lokajów w kredensie, gdzie „służba zna swoją powinność“. Porządek w tym kredensie panuje wzorowy; nikt z rozmawiających nie ośmiela się podnieść głosu wyżej nad miarę dozwolonego szmeru, wszyscy piszą jednako, wszyscy mają jednakie na świat poglądy, jednakie temperamenty, omalżem nie powiedział — jednakie fraki i kamasze, i nie znajdziesz pomiędzy nimi jednego, posiadającego to, czego przedewszystkiem wymagam od pisarza, a co Niemcy nazywają: *eine scharf markirte schriftstellerische Individualität!* Papka, w ten sposób przyrządzona, działa na umysły jak opium; jeżeli tedy prawdą jest, co powiedziała pani de Sevigné, że *à defaut d' une lecture sérieuse l' esprit gagne les pâles couleurs* i jeżeli nowożytna teorya o transformizmie nie myli, to jest usprawiedliwiona całkiem nadzieja, że ogół nasz, karmiony taką strawą przez trzy lub cztery pokolenia, przestanie myśleć zupełnie, — że skutkiem zmian zaszłych w naszym mózgu zmieni się i kształt naszej głowy, że się kąt naszej czaszki stępi, że się czoło nasze w tył cofnie, i że — powrócimy znowu do typu goryla!

Junius.

Kronika wynalazków.

Wystawa elektryczności w Paryżu. — Nowe zbiorniki elektryczności p. Faura. — Fotofon Bella i Taintera. — Przesyłanie mowy za pomocą światła — Poszukiwania p. Mercadier. — Telektroskop. — Nowy fotometr fotograficzny Janssena. — Przyrządy ostrzegające przed pożarem. Przechowywanie łatwo zapalnych płynów.

Ze wszystkich kongresów bieżącego roku, najbardziej oczekiwanym jest międzynarodowy popis elektryków, połączony z wystawą elektryczności, który się rozpocznie w Paryżu dnia 1-go sierpnia.

Pierwsza to będzie wielka wystawa, poświęcona wyłącznie zestawieniu systematycznemu wszystkiego, co się w tej dziedzinie ostatniemi laty zrobiło. A zrobiło się tak wiele, jak w żadnej innej gałęzi wiedzy. Elektryczność, uważana do tak niedawna za cóś wielce tajemniczego, zajmującego, lecz w praktyce omal nieużytecznego, została użyta do zaspokojenia potrzeb codziennego życia. Niespodziane, ważne wynalazki przyczyniły się do ujarzmienia tej niesfornej siły, miotającej pioruny, i do wprowadzenia jej na wielką skalę w przemyśle, handlu i komunikacyach. Dziś już nie możemy sobie nawet wyobrazić, jak bez telegrafów mogłyby się odbywać stosunki międzynarodowe, co daloby bezpieczeństwo jazdy na kolejach, dostateczne oświetlenie latarni morskich i t. d.

Odkrycia i wynalazki kilku lat ostatnich, opierające się przeważnie na własnościach siły elektrycznej zdołały tak zainteresować ogół nawet niespecyalistów, że nie jednokrotnie spotykamy się z pracami, wychodzącemi od ludzi, nieoddanych wyłącznie tej dziedzinie wiedzy. Nauka elektryczności zdobyła sobie popularność. We wszystkich pracowniach rzucono się do jej zgłębiania i nastały już takie czasy, że niema prawie tygodnia bez wiadomości o jakiemś nowem a ważnem odkryciu. Materyałów, prób, doświadczeń, modeli nabrało się tak dużo w przeciągu pięciu lat ostatnich, ile może we wszystkich poprzedzających razem.

Do tak ożywionej pracy największą zachętą była oczywiście łatwość robienia odkryć i otwierania dróg nowych, oraz wzgląd na materyalne korzyści, jakie nieraz jeden drobny lecz praktyczny wynalazek przynieść może. Jeśli rzucimy okiem wstecz i przyjrzymy się historycznemu rozwojowi odkryć i wynalazków, to się przekonamy, że takie zjawisko wyłącznego prawie zapanowania jednej gałęzi poszukiwań, trwające przez lat kilka lub kilkanaście, nie jest rzeczą nową i niespodziewaną. Parę dobrych, głównych wynalazków zwraca oczy wszystkich, pragnących chodzić nowemi drogami, w jedną stronę. Prąd ogólny porywa pracujące głowy i ręce.

Przyszła teraz kolej na elektryczność i gdy się w tym kierunku rzucono, mając do pomocy środki tak potężne, jakimi nowożytna nauka rozporządza, to oczywiście nagromadziła się olbrzymia ilość materyału nowego, na zestawienie którego i wyprowadzenie ogólnych wniosków nie było jeszcze dosyć czasu. Trudno było wypróbować i porównać wszystkie sposoby elektrycznego oświetlania, telefonów, maszyn dynamoelektrycznych i t. p.

Wystawa międzynarodowa będzie takiem muzeum, w którem uczeni i praktycy znajdą to wszystko, co na tem polu robiono; widzieć będą mogli wszystkie przyrządy w ruchu, mierzyć siłę, porównywać koszta, uzupełniać w myśli luki istniejące i odnajdywać drogi do nowych a owocnych poszukiwań.

Nie ulega wątpliwości, że wystawa ta przyczyni się do zrobienia wielkiego skoku naprzód i będzie zaznaczoną w rocznikach elektryczności jako data historyczna wielkiej wagi.

Korzyści z niej najlepiej określił minister Cochery w swym raporcie. „Uczeni i przemysłowcy — powiada — poszukują dzisiaj, we wszystkich krajach świata, ulepszenia sposobów dobywania i zużytkowywania nowej siły. Rezultaty otrzymane są już znakomite i liczne, lecz często niedostateczne i niezupełne. Wiele zależy na tem, aby ściśle oznaczyć stan obecny nauki o elektryczności i jej zastosowaniach, zbliżyć i porównać sposoby poszukiwań, aby wszystkim pracom i wysiłkom nadać kierunek ogólny, któryby im ulżył i zapewnił powodzenie.“

Nie będziemy się wdawali w szczegółowy opis programu wystawy, jej urządzenia i układu. W czasie jej trwania będziemy mieli dosyć po temu sposobności. Wystarczy nam tymczasowo zwrócić tylko uwagę na ważniejsze zagadki, których rozwiązania spodziewać się możemy.

Najbardziej interesować będzie oczywiście sprawa oświetlenia elektrycznego, które tak ogromne zrobiło postępy, że już jest zupełnie blizkiem ostatecznego praktycznego zastosowania. Będzie to walka niezwykle ożywiona a do turnieju staną liczne zastępy wynalazców. Spotkamy się z potężnemi ogniskami o sile kilkudziesięciu tysięcy płomieni i zwykłemi lampami do użytku domowego; zobaczymy najpotężniejsze machiny dynamoelektryczne, jakie dotychczas zbudowano. I tak słynny Edison ma wystawić jedną, zapomocą której zapali 800 ognisk elektrycznych! Pokaże się ostatecznie, czy też co warte są jego lampy (*à incondescence*), tak sławione przez amerykanów, widzących w Edisonie uosobienie swego geniuszu narodowego.

Przeniesienie siły na znaczne przestrzenie i wogóle używanie elektryczności do wykonywania pracy mechanicznej reprezentowanem będzie przez liczne przyrządy i machiny, z pomiędzy których dla publiczności najwięcej przedstawi interesu kolej elektryczna Siemensa, pokazywana na wystawie przemysłowej w Berlinie. W zasadzie budowa jej nie ma nic nowego. Na lokomotywie umieszczona jest zwykła machina dynamoelektryczna, którą wprawia w ruch prąd elektryczny, wyrabiany na stacyi i dochodzący do lokomotywy po szynach. Oczywiście szyny muszą być odosobnione. Po jednej z nich bieży prąd dodatni, wchodzi przez koło do lokomotywy i obraca motor. Połączenie z drugim biegunem następuje za pomocą drugiego koła i drugiej szyny. Kolej taką budują obecnie

w Berlinie na większą skalę dla użytku publicznego.

Telefony będą na wystawie reprezentowane w tysiącznych niemal egzemplarzach. Od czasu ostatniej wielkiej powszechnej wystawy, namnożyło się ich tyle, że wyliczenie samych nazwisk wynalazców zajęłoby stronę całą. Wszystkie większe kompanie telefoniczne będą reprezentowane. Silną ponętą tego oddziału wystawy będzie komunikacya jej placu ze sceną wielkiej opery. Obiecują, że będzie można słyszeć orkiestrę, sola i chóry z odległości tych paru kilometrów, dzielących pałac Pól Elizejskich od gmachu Akademii Muzycznej.

Jednem słowem i dla niespecyalistów wystawa dostarczy mnóstwa przedmiotów uderzających nowością pomysłu, praktycznością zastosowań lub przynajmniej zadowoleniem zwykłej ciekawości publicznej, szukającej nowych wrażeń.

Zatrzymujemy się jeszcze przez chwilę przy wynalazkach z dziedziny elektryczności. W czasopismach naukowych i w towarzystwach uczonych jest obecnie na porządku dziennym sprawa nagromadzania elektryczności w odpowiednio zbudowanych przyrządach, zwanych stosami drugorzędnymi (*piles secondaires*).

Zadanie, które się ma tą drogą rozwiązać, jest następujące. Należy zbudować przyrządy, w których możnaby było nagromadzić znaczną ilość elektryczności, przenosić takie zbiorniki gdzie się podoba i dobywać z nich w każdej chwili, w dowolnej ilości, zamknięty zapas energii elektrycznej. Gdyby takie zadanie zostało zadawalniająco rozwiązane, otrzymanoby znaczne korzyści i usunięto przeszkody, stojące dotychczas oporem szerszemu zastosowaniu elektryczności w codziennych potrzebach życia. W wielkiej fabryce napełnianoby codziennie zbiorniki, rozwożono do domów i każdy abonent na elektryczność mógłby za pokręceniem śrubki używać utajonej w przyrządzie elektryczności do pędzenia drobnych maszyn domowych, jak maszyn do szycia, oświetlania pokoi, robót galwanoplastycznych i t. p.

Zaszczyt pierwszych prac na tem polu należy się Gustawowi Planté, którego stosy drugorzędne od lat kilku powszechnie w laboratoryach są używane. Po nim kilku wynalazców ulepszało je a obecnie doprowadzono do takiego stanu, że z elektryczności. użytej do napełnienia, odbiera się potem 80 procentów. Przynajmniej tak twierdzi Faure, wynalazca nowych stosów niedawno przedstawionych w Akademii Umiejętności.

Wynalazek pana Planté, jakkolwiek jest prostym w budowie, nie jest jednak łatwym do wyjaśnienia w ramach naszej kroniki naukowej. Musimy też o teoryi wspomnieć tylko ogólnikowo. Przedstawmy sobie jakikolwiek najprostszy element, składający się naprzykład z dwóch blaszek, jednej cynkowej a drugiej miedzianej, zanurzonych w zakwaszonym roztworze. Jeśli połączymy miedź z cynkiem, to otrzymamy prąd, o którego obecności da nam świadectwo galwanometr. Zauważono, że po pewnym czasie, mimo zachowania tych samych warunków, prąd zaczyna słabnąć i nawet zbliżać się powoli do zera. Gdy zjawisko to zaczęto badać, okazało się, iż przypisać je należy polaryzacyi, powstałej wskutek rozwijania się energii elektrycznej, nowych elementów wewnątrz elementu głównego, które działając w przeciwnym kierunku, osłabiają energię stosu. Powstają prądy, działające odwrotnie, które nazwano prądami drugorzędnymi. Wskutek rozkładu chemicznego składników stosu tworzą się nowe ugrupowania, które następnie zużytkować można, jako nowe źródła elektryczności. Na tej właśnie zasadzie, na takiem wyzyskiwaniu drugorzędnych prądów, opiera się budowa zbiornika elektryczności pana Planté.

Budowa ich dosyć prosta. Składają się ze zwiniętych spiralnie blach ołowianych i rolowanych za pomocą kauczuku i zanurzonych w zakwaszonej wodzie. Jeśli te blachy połączymy z jakiemkolwiek źródłem elektryczności, to na ich powierzchni nastąpują zmiany chemiczne, wytwarzające prądy drugorzędne. Po pewnym czasie takiego *napełniania elektrycznością*, jeśli się tak wyrazić wolno, można z blach ołowianych odbierać napowrót włożony zapas elektryczności, połączywszy je z sobą. Następują odwrotne zamiany chemiczne i nagromadzone poprzednio. energia wydziela się powrotnie, naturalnie z pewnemi stratami.

Ulepszenia pana Faura polegają na tem, że zmiany wewnętrzne w stosie wtórorzędnym głębiej sięgają przy naładowywaniu elektrycznością. Osiąga się tą zdolność przyjmowania większej ilości energii elektrycznej tem, że elektrody pokrywają się warstwą minii lub innego połączenia tlenu z ołowiem. Stos wtórorzędny Faure'a ważący 75 kilogramów, może wydawać z siebie przez całą godzinę ilość elektryczności, zastępującą pracę jednego konia parowego. Ciężar to niezbyt wielki i możnaby było stos pana Faura z łatwością dowozić codziennie do domów, gdzie praca jest potrzebną do wprowadzenia w ruch małych warsztatów, ale czas wydzielania prądu jest bardzo stosunkowo krótki. Godzina roboty — to za mało i każdy pracownik musiałby się zaopatrywać w kilka rezerwoarów. To już za wielki kłopot z rozwożeniem.

Są kapitaliści, którzy w tych ulepszeniach pokładają wielkie nadzieje i sądzą, że kwestya powszechnego używania elektryczności do oświetlania domowego i pędzenia drobnych maszyn została na tej drodze rozwiązaną. Świadczą o tem rozlepiane od pewnego czasu na rogach Paryża afisze, obiecujące za lat parę dostarczyć: „la force et la lumière par l'électricité" za bajecznie nizką cenę. Być może, że zczasem do takiego obniżenia cen dojść będziemy mogli, ale nie sądzimy, aby posługując się tem, co dotychczas zrobiono, można było otrzymać tak świetne rezultaty.

Fotofon Bella i Taintera, który w zeszłym roku tak słusznie stał się przedmiotem podziwu całego Paryża, wywołał cały szereg prac i poszukiwań, mających na celu bliższe wytłomaczenie zjawisk, towarzyszących przesyłaniu dźwięków na odległość za pomocą promieni światła.

We Francyi p. Mercadier, w Anglii pp. Tyndall i Preece poczynili w tej mierze wiele ciekawych i pożytecznych odkryć.

Nie potrzebujemy tutaj opisywać fotofonu; zbyt on jest znanym. Przypominamy tylko, że zasada tego cudownego mechanizmu jest następująca: przyrząd wysyłający świetlaną depeszę jest tak zbudowany, że wychodzący zeń promień światła zmienia swoje natężenie, drżąc nieprzerwanie pod działaniem dźwięków muzycznych lub też ludzkiej mowy. Przyrząd odbierający zmienia te drgania światła na dźwięki.

Pokazało się, że jeżeli chodzi o zwykłe tony muzyczne, to budowa odbieracza może być bardzo prosta; tabliczka zwykła z najrozmaitszych materyałów, jak drzewa, cynku, ebonitu, powtarza dźwięki, jeśli nania pada światło przerywane odpowiednią ilość razy na sekundę.

Jak się później pokazało, nawet gazy wystawione w takich promieniach, zdolne są do wydawania dźwięków. Bell przypisywał to zjawisko bezpośredniemu działaniu promieni światła, bez współudziału ciepła promieniejącego.

Nowsze doświadczenia wykazały, że światło nie gra tu głównej roli, że wyłącznym, jak się zdaje, czynnikiem są promienie cieplikowe. Przekonano się bowiem, że jeśli nawet na drodze promienia przenoszącego depeszę, postawimy nieprzejrzyste dla światła ciało, jak np. blaszkę ebonitową, to jednak mimo to zjawiska fotofoniczne się powtarzają. Światło przez ebonit przejść nie może, ale natomiast niewidoczne dla oka promienie cieplika przechodzą na drugą stronę i działają na aparat odbierający.

Badając bliżej dźwięki wytwarzane tą drogą w naczyniach zamkniętych, napełnionych gazami, przekonał się Preece, że dźwięki te w pewnych warunkach nie są wydawane przez ściany naczynia, lecz przez gazy wewnątrz uwięzione.

Na tej drodze doszedł do zbudowania zupełnie nowego odbieracza, do zwykłych telefonicznych komunikacyj. Ze stacyi wysyłającej po drucie przybiega do odbieracza prąd elektryczny o zmiennem w każdej chwili natężeniu. Prąd ten przebiega przez cienki drucik platynowy. zwinięty w wężownicę i zawieszony wewnątrz zamkniętego naczynia. Drucik ten staje się podczas przesyłania depeszy źródłem ciepła promieniejącego, zmniejszającem ciągle swe natężenie, proporcyonalnie do zmian prądu elektrycznego. Oczywiście, następuje to w rozmiarach bardzo nieznacznych i nieuchwytnych, a jednak wystarczających do wprowadzenia powietrza zamkniętego wewnątrz naczynia w dźwięczne drgania.

Dobywa się stamtąd głos, wprawdzie dość słaby, ale zrozumiały i zupełnie wyraźny.

Do niezliczonego mnóstwa odbieraczy telefonicznych, obmyślanych w ostatnich kilku latach, przybywa więc jeden nowy, a oparty na zupełnie odmiennej od innych zasadzie.

B. A.

(Dokończenie nastąpi).

Badania historyczne.

(Marya Stuart w więzieniu.)

Zdawałoby się, że życie Maryi Stuart historycy i poeci wyczerpali w zupełności. Jeden wszakże z jego ustępów został dotychczas nietknięty, chociaż jest niemniej od innych ważnem ogniwem w łańcuchu przygód królowej Szkocyi. P. Leader, członek Towarzystwa Starożytności w Londynie, postanowił wypełnić tę lukę [1]. Ograniczył on się na przedstawieniu epoki, w której Jerzy hr. Shrewsbury zajmował się królową (1529—1584), gdy odcięta od świata, przerwała pozornie wszystkie spiski. Autor dowodzi, że całe życie jej było nieprzerwanem pasmem szeroko rozgałęzionych knowań. Z niezwykłą skrzętnością powiązał on rozproszone nici dowodów, opartych na listach i dokumentach, usnuwszy z nich bardzo zajmującą i w nowe szczegóły bogatą monografię.

Leader rozpoczyna swoje opowiadanie od chwili wylądowania Maryi w Cumberland (1568 r.), gdy chroniąc się przed zbuntowanymi poddanymi, długie lata pędziła w troskach i cierpieniu. Bystrem spojrzeniem odrazu poznała, że jakkolwiek straciła panowanie nad królestwem, jednakże uwięziona w Loch-Leven będzie na ziemi angielskiej ogniskiem powstania. Oddawszy się w ręce Elżbiety, postąpiła nieopatrznie; powinna była znać nieprzyjaciółkę i wiedzieć, że ta nie obdarzy jej nigdy wolnością. Elżbieta znajdowała się w położeniu trudnem. Marya bowiem była nietylko wygnaną królową. ale istotną dziedziczką angielskiego tronu. Jej przeciwniczka w oczach katolickich poddanych była spadkobierczynią z nieprawego łoża, a na tronie zasiadła dzięki jedynie specyalnemu aktowi parlamentarnemu. Z tego też powodu obecność Maryi w Anglii przypominała Elżbiecie ciągle jej pochodzenie i tworzyła niebezpieczeństwo zarówno dla tronu, jak i jej życia. Marya swych pre-

[1] *Mary Queen of Scots, in Captivity.* Londyn.

tensyj nigdy się nie zrzekła a królowa Anglii nazbyt dobrze wiedziała, że niezadowoleni katolicy sprzyjać będą pretensyom jej współzawodniczki.

Lordowie, których gościnności powierzono Maryę, przyjęli ją jako na pół uwięzioną i zapytywali Elżbiety, co czynić mają. Ta ostatnia sądziła, że byłoby niepodobieństwem nie okazać Maryi przynależnych jej zaszczytów, lecz jednocześnie byłoby szaleństwem pozostawić ją na wolności. Lordowie prosili o wyraźne instrukcye, nie wiedzieli bowiem, jak właściwie obchodzić się z Maryą. Tego właśnie uniknąć chciała Elżbieta, pragnąc z jednej strony trzymać Maryę pod zamknięciem, a z drugiej — nie brać za to zupełnej na siebie odpowiedzialności.

Autor rozpisuje się głównie nad losami Maryi podczas jej piętnastoletniego pobytu w więzieniu. W początkach 1569 r. angielscy ministrowie postanowili nie uwalniać jej, ale zarazem obchodzić się z nią z względami, przynależnymi wysokiemu jej pochodzeniu. W tym też celu powierzono ją opiecę znamienitego rodem i stanowiskiem męża. Lord Talbot, dzięki związkom swym z trzema niezwykłemi kobietami, zdobył rozgłos historyczny. Temi trzema kobietami były: Elżbieta, jego królowa, Marya, jego więzień i Elżbieta Hardwicke druga jego małżonka. Każda zosobna zaprawiła życie Talbota trucizną i uczyniła go nieszczęśliwym, zdziczałym starcem. Świetnymi rysami kreśli autor postać tego człowieka i jego ambitnej i przebiegłej żony, która, mimo skromnego swego pochodzenia, poczwórnym związkiem małżeńskim wyniosła się na najwyższe szczeble angielskiej arystokracyi. Opiece tej pary powierzono Maryę 1569 r. Ze zwykłą sobie bystrością wybrała Elżbieta na opiekuńcze stanowisko Talbota hr. Shrewsbury. Jego posiadłości mieściły się w samem środku Anglii, a jego siedziba, Sheffield, odległą była od głównych dróg komunikacyjnych królestwa. Talbot posiadał dziewięć zamków, blisko siebie rozmieszczonych, a całe to terytoryum pozostawało pod wpływem potężnego magnata. Marya przemieszkiwała naprzemian w tych zamkach, pozostając jednak zawsze pod silną strażą; pisywała i otrzymywała listy, które mimo ścisłej kontroli kryły w sobie plany zdradzieckie.

Najdotkliwszem było położenie Talbota, którego Elżbieta posądzała o nienawiść a Marya nienawidziła. Ciekawem jest rzucone przy tej sposobności przez autora światło na oszczędność Elżbiety, która przeznaczyła na utrzymanie Maryi tylko 52 funty tygodniowo a i te nieregularnie wypłacała. Marya utrzymywała cały dwór i po pewnym dopiero czasie zredukowano jej otoczenie. Szpiedzy donieśli Elżbiecie, że Talbot zbyt jest dla Maryi względnym; otrzymał nowe polecenie, aby obchodził się z nią surowiej. Podwoił więc czujność, wskutek czego znów spotkały go wyrzuty, że postępuje niedelikatnie z namaszczoną królową.

Niezależnie od tego królowa szkocka knuła spiski, a posiadała ona w tym kierunku niezwykłą wprawę. Autor szczegółowo kreśli te matnie, które znane są zresztą, jakkolwiek dotychczas nie dowiedziono, że kierowała niemi samodzielnie Marya. Sprzysiężenia te splatała ona przy pomocy księcia Norfolk, któremu obiecała oddać swoją rękę. Główne intrygi wiązały się między Maryą a dworami francuskim i hiszpańskim. Roku 1584 zwolniono Talbota z jego obowiązków; Marya jednak w dalszym ciągu spiskowała.

Według Leadera, los Maryi byłby daleko znośniejszym, gdyby poprzestała na haftach, ulubionych ptakach i pieskach; wszelako temperament jej był z natury zbyt niespokojnym.

Elżbieta jednak, pożądająca jej śmierci, obawiała się wszelkich w tym kierunku posądzeń i przy każdej niedyspozycyi swej rywalki posyłała jej lekarzy. Mimo to, coraz bardziej ograniczała wydatki na utrzymanie, aż nareszcie wpadła na myśl, aby przejmować przysyłane Maryi, jako wdowie po Franciszku II, pieniądze z Francyi. Zamiarowi temu Marya stanowczo się oparła, dowodząc, że dopóki królowa Anglii ją więzi, winna ponosić wszelkie z tego powodu wypływające koszta. Celem oszczędności ze strony Elżbiety było i to także, aby Marya wydając jak najwięcej pieniędzy na swoje i dworu swego utrzymanie, jak najmniej posiadała środków zarzucania daremi swych przyjaciół.

Ostatnie dwa lata żywota Maryi są znane. Wiadomo, że zostawała pod strażą sir Pauleta i że z Babingtonem spiskowała przeciw życiu Elżbiety. Autor dowodzi najwyraźniej, że Marya umarłaby naturalną śmiercią, gdyby raz pogodziwszy się ze swym losem, pozostawiła całą sprawę naturalnem jej biegowi. Nawet do r. 1571 Elżbieta nie zrzekała się zamiaru osadzenia swej krewnej na szkockim tronie. Marya sama działała na swoją niekorzyść i nie chciała uwierzyć, że monarchowie Europy, mimo częstego w jej obronie wstawiennictwa, miecza w interesie jej nie dobędą.

W pracy Leadera znajdujemy wiele argumentów, broniących Elżbietę w stosunku jej do Maryi. Pewnem jest, że uwięzienie Maryi było niezbędnem dla spokoju Anglii. Nie usprawiedliwia jednak autor kary śmierci, jaką królowa szkocka poniosła, mimo to, że fakt ten mniej odskakiwał od obyczajów ówczesnych niż od naszych. Z tem wszystkiem Marya w przekonaniu umysłów, niekrytycznie sądzących dzieje, zawsze wyżej stać będzie od swej zwycięzkiej rywalki.

Z.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Rocznik zbiorowy prac naukowych za rok 1880 (dokończenie, p. NNra 20 i 22 *Prawdy*).

P. H. Merczyng kilkakrotnie zabierał już głos w przedmiocie wychowania u nas, obecny więc jego artykuł w *Roczniku*, przedstawiający „Projekt urządzenia gimnazyum wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gubernii wołyńskiej — Kołłątaja i Czackiego" nie jest pierwszem ogniwem w łańcuchu prac młodego autora. Zdaniem jego trzy ustawy w dziejach naszego szkolnictwa są głównymi punktami zwrotnymi: Komisyi Edukacyjnej, Wielopolskiego i wspomniany „Projekt." Dwie pierwsze, jako znane i do założenia nienależące, p. M. pomija i zastanawia się szczegółowo nad trzecią. Podaje nietylko historyę projektu, ale powtarza całą jego zawartość a nawet w osobnych tablicach dołącza szczegółowy rozkład nauk. Niepodobna nie podzielić z autorem gorącego uznania i rozległych nadziei, jakiemi czci ów program dwu sławnych mężów w jego granicach historycznych. Skarga p. M. w przypisku na zaniedbanie szkoły krzemienieckiej w naszem piśmiennictwie jest, niestety, nader słuszną.

H.

O pęcherzu moczowym (vesica urinaria). napisał Dawid Wasserzug stud. V kursu wydziału lekarskiego.

Praca p. Wasserzuga jest rozprawą konkursową, napisaną w celu uzyskania medalu. Stosownie do zadanego tematu, autor główną uwagę zwrócił na trzy punkty: na zmianę położenia pęcherza przy rozmaitym stanie jego napełnienia, na jego osłonę mięśniową i powięzie. Przez dodanie do tego innych anatomicznych szczegółów, powstała zupełna i bardzo wyczerpująca monografia pęcherza. Treści jej, jak wogóle monograficznych prac, podawać nie podobna; zaznaczymy tylko, że większa jej część, a mianowicie odnosząca się do trzech powyższych punktów, opracowana jest na podstawie samodzielnych i licznych poszukiwań autora. Skutkiem tego przeważnego skupienia uwagi na zmianę położenia i powięzie pęcherza, rozprawa p. W. nosi na sobie cechę pracy anatomotopograficznej, stosowanej do chirurgii, co, jak się zdaje, leżało i w celu samego tematu. Pozostałe szczegóły, jak: budowa błony śluzowej, rozkład naczyń i nerwów stanowi tylko część dodatkową i oparta jest na badaniach innych autorów. Wartość wywodów p. W. polega, mojem zdaniem, głównie na tem, że autor w najważniejszych kwestyach nie pisał nic, nie zbadawszy samemu rzeczy dokładnie, skutkiem czego praca nie jest kompilacyjną ale ściśle oryginalną. Przy tylu poprzednikach trudno jest w anatomii dzisiaj cośkolwiek nowego odkryć, i zadanie badacza polega więcej na należytem usystematyzowaniu i opisaniu szczegółów, co jednak bez gruntownych poszukiwań jest niemożliwe. Wiedział o tem p. W. i dla tego dużo poświęcił czasu na badanie, zanim do opisu przystąpił. Prócz tego cała literatura uwzględniona została bardzo obszernie, co w połączeniu z samodzielnymi opisami sprawia, że rozprawa p. W. jest najobszerniejszą w naszej literaturze monografią pęcherza i tak dla anatomów jak i chirurgów będzie pożądanym nabytkiem.

Dr. T. D.

LIBERUM VETO.

Zużytkowanie kandydatów do posad sądowych. — Jeśli jedni nie chcą, drudzy nie mogą, przyjdą trzeci. — Grosz i rubel. — Naczelnicy z gub. wileńskiej. — Przygody na Saskiej Kępie. — Grandownicy. — Miejsce dla strzelającego zadowolenia. — Wąż i Ewa. — Czterowierszowi i ośmiowierszowi. — Zemsta *per procura.* — Burza nad głową p. Orzeszkowej. — Przemiana literackich gatunków w Wilnie. — Pokwitowanie dla p. Bestużewa-Riumina.

Czy godności sędziów gminnych mają piastować miejscowi obywatele z wyboru, czy kandydaci do posad sądowych z urzędu? — oto pytanie, które obecnie ubiega się o zajęcie przez chwilę naszej uwagi i może ją nawet zajmie. A wtedy światek nasz rozdzieli się na dwa stronnictwa, którym hasło do walki dał p. prezes Sądu Okręgowego warszawskiego, poradziwszy kandydatom, oblepiającym jak opiłki magnes tej instytucyi, ażeby przyjmowali obowiązki sędziów gminnych. mianowanych z urzędu. Radę tę wywołała podobno rejterada inteligencyi miejscowej z posad sędziowskich. Ponieważ jest to po naszemu, więc ze stanowiska obyczajów nie mam nic do nadmienienia uciekinierom, pod warunkiem, że żaden z nich nie spłodzi nawet na użytek sąsiada elegii, opłakującej „bezwładność przymusową" i „wyparcie żywiołów swojskich." Co do samej instytucyi nastepująca zasada godzi, jak sądzę, najsprzeczniejsze zdania, mianowicie: na stanowisko sędziego gminnego pożądanym jest człowiek moralnie i umysłowo tej roli godny. Czy zaś on będzie wybrany, czy zamianowany — jest to wzgląd drugorzędny. Trudno chyba zaprzeczyć, że jeśli nikt z wyboru nie chce przyjąć obowiązków sędziowskich lub spełniać je ma źle, ktoś musi je wziąć z urzędu i może spełniać dobrze. Jeżeli zaś ów ktoś nie będzie kandydatem do posad sądowych, to z jakiejże sfery ma wyjść? Z dymisyonowanych wojskowych lub pisarzów cyrkułowych? W gminie jakiejś jest p. X., człowiek uczciwy i rozumny. ale „djabli mu potem;" obok niego p. Y., który radby włożyć na szyję

łańcuch, ale posiadający — mówiąc żargonem prawniczym — stronę czynną i bierną; jednocześnie w kancelaryi Sądu Okręgowego puszcza misterne kółka z dymu papierosowego młody i zdolny kandydat do posad sądowych, który bardzo dobrze mógłby wyręczyć nietylko dymisyonowanego podporucznika lub kancelistę cyrkułowego, ale nawet pp. X. i Y.; dla czegóż więc on nie ma zostać sędzią gminnym?

Dla czego? Istnieje bardzo ważny powód, chociaż nie w naturze tej instytucyi, ale raczej w naturze całego naszego życia, które ześrodkowało się w Warszawie. Poradźcie świeżo wylęgłemu lekarzowi, prawnikowi, nauczycielowi, ażeby pojechał na prowincyę, odpowie wam: wolę tu grosz, niż tam rubel. A tak woli większość; nic też dziwnego, że często biedna prowincya dostaje od nas takie fanty, z którymi nie umie sobie poradzić; jeśli zaś sobie radzi, to tak, jak z naczelnikami w guberni wileńskiej, o których donosi korespondent *Wieku*.

Z obawy, ażeby ci bohaterowie nie zostali przypadkiem sędziami gminnymi tam, gdzie obywatele miejscowi Temidą się brzydzą a kandydaci do posad sądowych kapłaństwa w jej świątyni nie są godni lub przenoszą grosze nad ruble, przedstawiam ich tu według podanego rysopisu. Poczthalter w pow. lidzkim zaniósł skargę do hr. Totlebena o szereg nadużyć, których dopuścił się względem niego naczelnik powiatu Lewnadskij. Delegowano na śledztwo urzędnika, który znalazł wszystko w porządku. Tymczasem poczthalter wystąpił z nowem zażaleniem o otrucie mu piętnastu koni. Możeby i teraz nie odnaleziono końców sprawy, zręcznie rzuconych w wodę, gdyby p. naczelnik nie zaryzykował się zbytecznie i nie skradł drugiemu delegatowi akt śledczych. Tego było już za wiele dla najcierpliwszej pod słońcem władzy. Wzięto się też do winnego energicznie i wykryto w jednej z nim kniei dwu innych naczelników, (pow. trockiego i oszmiańskiego), pp. Oleszkiewicza i Spontego, którzy razem zasiedli na ławie oskarżonych i prawdopodobnie w tej chwili nie myślą nawet o zastąpieniu naszych „nieobecnych“ na posadach sędziów gminnych.

A jednak moglibyśmy oni oddać nam niewątpliwe usługi, gdyby np. poświęcili się straży bezpieczeństwa nad Saską Kępą, na której restauratorzy i „grandownicy“ zaczynają wyprawiać złośliwe figle. Pewne towarzystwo (jak opisuje jeden z jego członków w *Nowinach*) chcąc użyć świeżego powietrza, wynajęło sobie restauracyę „Pod różą.“ Po północy do bawiącego się grona przybywają pijane figury, których gospodarz rekomenduje jako „grandowników“ i radzi traktować ich grzecznie, gdyż rycerze ci, zadraśnięci w swym honorze, zabierają zwykle portmonetki i zegarki. Na szczęście niebezpieczni goście oddalają się. Po skończonej zabawie, gdy całe grono poszło do przewozu, jeden z biesiadników pozostał dla zapłacenia rachunków. Tak się nie robi na Saskiej Kępie. „Restaurator z „Pod róży“ — opowiada autor tej Odyssei — znalazłszy się sam na sam z p. S. B. zaczął mu rachować *inaczej*, niż się umówił.“ Naturalnie wszelki targ „sam na sam“ byłby daremny; schwytany też majówkowicz zapłacił, co żądano, i puścił się za towarzystwem. Nagle za restauracyą rozległo się gwizdnięcie, — „grandownicy“ otoczyli nierostropnego warszawianina i dowiódłszy naprzód siły swych pięści, odarłszy z pokrwawionego puścili, ażeby świadczył o bezpieczeństwie majówek na Saskiej Kępie, która jeszcze nie zaprenumerowała sobie ani jednego stróża porządku publicznego. Już teraz nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jaki przewoźnik rzekł na środku Wisły swym pasażerom: „oddać, co jest, bo inaczej plusk w wodę i po paradzie.“ Wobec takich możliwości, czy niebyłoby stosownem wynajmować sobie na majówki po rocie żołnierzy, tak jak wynajmuje się ich do żniwa lub koszenia. Bo dopóki p. naczelnik straży ziemskiej, czuwający nad Saską Kępą, nie postawi na „grandowników“ jakiego stracha, mile te ptaszki będą ciągle robiły szkodę w naszych kieszeniach. Pewien urzędnik kolei petersburskiej dwa razy jednego dnia, w cyrku i restauracyi, strzelił z rewolweru na znak... zadowolenia. Czy nie możnaby go poprosić, ażeby to swoje zadowolenie objawiał na Saskiej Kępie, śród „grandowników?“

Obowiązany do mówienia *prawdy*, muszę przed wami, czytelnicy, zdradzić jedno zmartwienie naszej literatury, którego przyczyną stał się p. Chmielowski. Wąż ten, skuszony przez wileńską Ewę, poobrywał owoce z literackiego drzewa wiadomości złego i dobrego, które na nim wyrosły w ciągu ostatnich lat szesnastu, i zgromadził je nadkąsane w świeżo wydanym przez p. Orzeszkową *Zarysie*. Nie miałem odwagi zajrzeć jeszcze do tej książki, z którą Was osobne sprawozdanie poznajomi, bo odstrasza od niej głuchy szmer literackiego Olimpu. Niezadowoleni twierdzą, że autor jednym poświęcił za mało wierszy, a drugim za dużo. Uszy moje przyjęły już kilka tego rodzaju żaleń.

— Bo przyznaj pan sam — mówił jeden z pokrzywdzonych — czy sumienny krytyk mógł mnie zbyć czterema wierszami, a ...skiemu poświęcić osiem?

Gdyby owe cztery można było dodać do ośmiu i dwanaście podzielić na dwie równe połowy, zaradziłoby się biedzie i niewątpliwie p. Chmielowski przy drugiem wydaniu swej książki tę równomierność uwagi zachowa; ale dziś niema żadnego ratunku. Kto dostał cztery wiersze, niech się martwi czterema, a kto osiem — niech się cieszy ośmioma. Gorsze złe w tem, że śród cztero-wierszowych objawiła się nienawiść do ośmiu — i więcej wierszowych, która może oddzialać niekorzystnie na nasze stosunki literackie. Nie zachowałem jeszcze, ile na mój dział przypada, w każdym razie błagam bardziej odemnie upośledzonych, ażeby mi nie policzyli cudzej winy. Jeżeli zaś wstydzą się upomnieć o własną krzywdę a pragnęliby się pomścić na niesprawiedliwym autorze, podam im wyborny środek. Pawłowi nie wypada powiedzieć publicznie: „p. Chmielowski lekkomyślnie pominął Pawła,“ ale wypada mu ująć się za Janem, Onufrym, Kajetanem, którzy znowu jemu nawzajem oddadzą też samą usługę. Tym sposobem każdy będzie pomszczony *per procura*.

A teraz niech pani Orzeszkowa przygotuje się na nowy zarzut, że jej działalność wydawnicza w Wilnie jest szkodliwą. I Konopnicka, i Chmielowski i wszyscy święci warszawscy, którzy na miejscu sprawują się bardzo dobrze, wyjechawszy do Wilna ulegają wpływowi czarta i piszą takie rzeczy, na które nam tu żółć się wylewa. Co to jest? czem to się dzieje? Czasem napada chęć wierzyć, że gdyby p. Jeleński napisał broszurę do wydawnictwa p. Orzeszkowej, gotów byłby bronić w niej żydów, a ks. Nowodworski wysławiać Büchnera.

W końcu pozwólcie mi dołączyć do dzisiejszego *Liberum veto* mały kwit, z prośbą o podpisanie

„Niniejszem kwituję p. Bestużewa-Riumina w imieniu własnem i moich czytelników z wszelkich przeszłych, obecnych i przyszłych pretensyj do Cyryla i Metodego, których to mężów katolicy mieli sobie przywłaszczyć i których odzyskał w osobnym odczycie wspomniany uczony.“

Jeśli potrzeba poręczy i za potomstwo

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Biedny Słonim!

Nie chciał dać na szkołę, dać musi na pogorzelców.

P. Barkłowski, prezydent tego miasta, podjął myśl założenia gimnazyum, zamiast istniejącej szkoły powiatowej. Projekt wszakże spełzł na niczem. P. B. — jak donosi korespondent *Wieku* — szukał poparcia u marszałka powiatowego, obiecując 25.000 rs. rocznej zapomogi z kasy miejskiej i sumę niezbędną na pierwsze potrzeby zakładu, ale bezskutecznie. Słonimski marszałek powiatowy, na którego bardzo liczono, ostatecznie oparł się opodatkowaniu na ten cel posiadłości obywatelskich po kopiejce z dziesięciny, tak że gubernator, w braku rękojmi pieniężnej, zatamował dalszy bieg sprawy. Korespondent odmowę marszałka tłomaczy tem, że odpowiedniego funduszu na utrzymanie gimnazyum rada słonimska asygnować nie jest wstanie, wobec upadłej gospodarki miasta.

Przyszła jednak klęska, która do kieszeni możnych zapukała gwałtowniej — Słonim się spalił. 900 (?) domów, według telegramu, zgorzało. Gmachy publiczne i prywatne, kościoły, synagogi, cerkwie — wszystko sterczy na pogorzelisku i woła o pomoc.

Okropna to klęska, wobec której bledną coraz częstsze wieści o pożarach, dochodzące nas z różnych stron kraju. W ostatnich dniach ucierpiał najbardziej Szczuczyn w guberni łomżyńskiej, gdzie spłonęło kilkadziesiąt domów, między innymi biuro powiatu, sąd pokoju, apteka i t. d. Straty znaczne. Gdy dodamy, że kilkanaście chałup spaliło się w Częstochowie, całe miasteczko Lubim przy drodze nadwiślańskiej, a w końcu kilka włók lasu pod Jabłonną — to mimowoli zawołamy: losie, za co nas karzesz?

* *

Z Częstochowy donoszą o coraz częściej powtarzających się tam wypadkach jakichś tajemniczych strzałów, wynikłych podobno z podrzucania paczek wybuchowych. Usiłowano nawet zniszczyć kościół jasnogórski, organista jednak płonący pocisk spostrzegł i kościół ocalił.

W zeszłym tygodniu w Wiślicy (pow. pińczowski) ukazało się kilka egzemplarzy świstka, stającego w obronie jakoby zagrożonych interesów „braci katolików“ i pełnego pogróżek dla żydów. Jeszcze głupstwo żyje, ale słabnie.

Gdzieniegdzie tylko w kraju dają się słyszeć lekkie pogróżki poważnych wypadków, które jednak obudzają jedynie śmiech i ciekawość naszego ludku prowincyonalnego zamiast zaniepokojenia, na co zapewne ktoś liczył.

Garstka chrześcian wiślickich — powiada *Gaz. Kiel.*, notująca to zdarzenie, — chodzi spokojnie koło roli, a żydki szyją kożuchy, jak jedni, tak drudzy, dalecy od wszelkich zemst i zawiści plemiennych.

* *

Radom otrzymał w tych dniach pożądaną instytucyę. Otworzono tam mianowicie kasę pożyczkową dla rzemieślników z kapitałem zakładowym 700 rs. i wkładowym 2.000 rs. Na kasę tę miasto zdobywało się przez lat kilka. Powolne kołatanie miejscowej inteligencyi do władz właściwych otrzymywało też powolne obietnice, które dopiero w roku bieżącym ubrały się w piękną suknię spełnionego faktu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 czerwca.

Uwaga Europy, przyzwyczajona do trzasku bomb dyplomatycznych, do oślepiających rakiet politycznych, pomija często fakty, nad któremi zastanowić się a nawet pomyśleć warto. Takim drobnym, ale wymownym faktem była mowa posła Liebknechta (socyalisty) w sejmie niemieckim. Niejednokrotnie zaznaczaliśmy, że ks. Bismark, przeprowadziwszy zręcznie prąd czasu na koło swej polityki i oparłszy się na idei Lassale'a, marzącego, jak wiadomo, o przekształceniach społecznych drogą prawodawczą, zaczął na swój sposób urzeczywistniać plany owego socyalistycznego przyjaciela. Było to z jednej strony zręczne zapanowanie nad potężnym ruchem a z drugiej rozbrojenie najwytrwalszych a przez to niebezpiecznych przeciwników. Otóż poseł Liebknecht poświadczył publicznem wyznaniem domysły i przebąkiwania, które od pewnego czasu brzęczały koło uszu Bismarka. Oznajmił on w sejmie, że jego partya solidaryzuje się w zupełności z znowem prawem, ubezpieczającem los robotnika i że „nie socyaliści są w ręku kanclerza, ale on w ich ręku.“ Deklaracya ta zrobiła wielkie wrażenie w Izbie, chociaż nie zaskoczyła jej znienacka. Niemieccy bowiem junkrzy odpędzali od siebie natrętną myśl i dopóki mogli, nie uświadamiali w sobie przekonania, że ich wódz rozstawił wielkie krosna, na których utkać pragnie państwowo-socyalistyczną osnowę. Teraz wszakże urzędowy przedstawiciel socyalizmu wydał już Bismarkowi formalny patent na ten przemysł. Zaiste, będzie to ciekawy obraz, jeśli go warunki dokończyć pozwolą.

Polityków, zobowiązanych do napełniania szpalt dziennikarskich „chmurami na widnokręgu Europy“ z wielkiego kłopotu wybawił Gambetta swą podróżą do Cahors i agitacyą na korzyść głosowania z listy. Jest to bowiem w obecnej ciszy jedyny przedmiot, po którym skrzypią gęsie i orle pióra publicystów. W braku nowego materyału wytworzył się między gazetami rodzaj zakładów, walczących (za cenę nieomylności wróżenia) o to, czy prawo przyjęte przez Izbę, zwycięży lub upadnie w Senacie. Są nawet politycy roztropni, którzy jednego dnia prorokują tak, drugiego—inaczej, zapewniając sobie tym sposobem możność powołania się na swoje jasnowidztwo. Chwalebny ten sposób przedostał się i do naszej prasy, może mimo jej woli i wiedzy, gdyż zmieniając swe źródła, zmienia zarazem poglądy. Przyznać wszakże trzeba, że większość dziennikarskich cyganek, przypatrując się dłoni francuskiego prezydenta Izby, przepowiada mu polityczną fortunę. Jedna nawet z gazet warszawskich, nadająca sobie powagę protekcyonalnością i klepaniem po ramieniu znakomitych mężów stanu, wyraziła co do Gambetty bardzo życzliwą nadzieję: „jest młody — powiada —ma więc, *według wszelkiego prawdopodobieństwa, przyszłość* przed sobą.“ Niezależnie od tej ojcowskiej wróżby, sądzimy, że jej autor poprzestałby już dziś na teraźniejszości p. Gambetty. Ile razy słyszymy podobnych Lemoine'ów, zawsze nam się zdaje, że widzimy filistra z lunetą, który patrząc na księżyc w pełni, mówi z dumą: tak, niezła może być z niego taca...

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Wystawa ogrodnicza zapowiedziana przez Muzeum przemysłowe na miesiąc czerwiec zostaje odłożoną z przyczyn niezależnych od muzeum na czas nieograniczony.

— Wystawa bydła i koni otwartą zostaje w Warszawie w d. 11 b. m.

Akademia. W Akademii umiejętności w Krakowie odbyło się d. 20 z. m. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem prezesa Akademii, dra Majera. Sekretarz wydziału, profesor dr. Kuczyński wyłożył treść rozpraw nadesłanych przez p. Witkowskiego i profesora d-ra Fabiana; pierwsza pod tytułem: *O wpływie odkształcenia na przewodnictwo elektryczne*, druga: *Zasada momentów przygotowanych;* tudzież odczytał ocenę rozprawy profesora Fabiana, nadesłaną przez członka Akademii prof. Strzeleckiego, a następnie przedstawił rozprawę p. Kamockiego, nadesłaną przez prof. Hoyera z Warszawy: *O tak zwanym gruczole Hardera u gryzoniów.* Następnie Wł. Kretkowski wyłożył treść swej rozprawy pod tytułem: *O niektórych wzorach rachunku różniczkowego.* Nakoniec prof. Janczewski wyłożył treść rozprawy nadesłanej przez d-ra Godlewskiego pod tytułem: *Studya nad oddychaniem roślin.*

— W Akademii umiejętności w Krakowie na posiedzeniu komisyi archeologicznej, odbytem w d. 27 z. m. debatowano nad dalszem wydawnictwem *Zabytków przedhistorycznych.* Następnie p. T. Ziemęcki odczytał obszerną rozprawę o przedmiotach złotych, wykopanych w Fokoru i Fayer (na Węgrzech), oraz w Aspromonte i o innych gallickich, które uważa za identyczne ze skarbem michałowickim.

Konkurs. Konkurs o nagrodę imienia d-ra Chałubińskiego został już rostrzygnięty. Nagrodzonem zostało dzieło d-ra Pieniążka z Krakowa p. t. *Laryngoskopia i choroby krtani i dychawic.*

Literatura polska. *Biblioteki umiejętności prawnych* zeszyt 66 zawiera ciąg dalszy pracy prof. dr. Antoniego Okolskiego p. t. *Wykład prawa administracyjnego.*

— W Krakowie wyszły świeżo dwie broszury: *Gleichenberg w Styryi* przez dr. Edwarda Brühla i *Cieplice Trenczyńskie na górnych Węgrzech* przez dr. Stefana Filipkiewicza.

— Drukiem i nakładem drukarni Adolfa Studenckiego i spółki wyjdzie wkrótce: *Ogólna taryfa celna handlu europejskiego dla komór Cesarstwa Rosyjskiego i Królestwa Polskiego.*

— Wyszło z pod prasy dziełko p. Juliana Łapickiego p. t. *Stosunki gminne w Królestwie Polskiem i właściwy kierunek ich rozwoju.* Jest to odbitka z *Ateneum.*

— Siemieńskiego Lucyana *Dzieł zbiorowych* wyszedł tom czwarty i zawiera *Portrety literackie* (Franciszek Morawski, Stanisław Trębecki, Franciszek Wężyk i Andrzej Edward Koźmian).

— Wyszła z druku treściwa *Historya handlu powszechnego z dodatkiem o przemyśle i handlu w Polsce i Rosyi*, opracowana przez p. St. Czarnowskiego.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, wyszło dzieło Gustawa Tissandier p. t. *Męczennicy w imię nauki.*

— *Historyi filozofii materyalistycznej* F. A. Langego zeszyt VI opuścił prasę.

— *Encyklopedyi wychowawczej* wyszedł z druku zeszyt pierwszy tomu drugiego i zawiera następujące monografie naukowe: *Basedow*, *Bazyli Wielki*, *Beaumont*, *Beauvais*, *Beda*, *Belfer*, *Belgia*, *Bell* i *Lankaster*, *Benecke* i *Bentham.*

— *Słownika geograficznego polskiego* zeszyt 18 wyszedł z druku i obejmuje wyrazy od *Frampol* do *Galuszowiec.* Z większych artykułów zeszyt ten zawiera obszerny opis Galicyi, oraz szczegółowe opisy miejscowości *Frydland*, *Fyszhuza*, *Gać*, *Gaj*, *Galindya.*

— Nakładem p. E. Orzeszkowej wyszły w dalszym ciągu następujące dzieła: Edmunda Jankowskiego, *Wady naszych sadów;* Piotra Chmielowskiego, *Poezya w wychowaniu;* Michała Bałuckiego, *Typy i obrazki krakowskie;* Piotra Chmielowskiego, *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu.*

— *Słownik terminologii lekarskiej polskiej*, wyjdzie nakładem Towarzystwa Lekarkiego krakowskiego w pierwszej połowie lipca r. b. Zawierać on będzie: 1) Tłomaczenie polskie wyrazów łacińskich, niemieckich, francuskich i niektórych angielskich; 2) Przekład wyrazów polskich na język łaciński i niemiecki lub francuski.

— *Pana Tadeusza* z ilustracyami Andriollego wyszedł zeszyt drugi.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły dzieła następujące: Daszyńskiego Stanisława: *Janko z Niemirycza Jaksa;* Konopackiego Jana: *Przed burzą;* Szwojnickiego Romana; *Karabela czy szabla?;* Szolca Kazimierza: *Widok z okolic Anzio.*

Teatr. Teatrzyki ogródkowe wystąpiły już z kilku nowościami, któremi starają się ożywić swój dość już spowszedniały repertuar. Trupa poznańska w Belle-Vue wystawiła po raz pierwszy operetkę czteroaktową Straussa p. t. *Koronkowa chusteczka*, która w Niemczech cieszyła się wielkiem powodzeniem, i oryginalną komedyę L. Świderskiego p. t. *Ojcowizna.* W Alhambrze wystawiono komedyę znanej spółki literackiej francuskiej, pp. Najac i Hennequin, p. t. *Mąż Idy.* Wreszcie w Eldorado odegrano po raz pierwszy komedyę tłomaczoną z francuskiego p. t. *Papa.*

Nekrologia. Jakób Bernays, jeden z najznakomitszych filologów współczesnych, prof. uniwersytetu w Bonn, umarł w d. 27 z. m. w temże mieście.

— Henryk Vieuxtemps, znakomity skrzypek belgijski zmarł w d. 6 b. m. w Algierze, gdzie bawił dla poratowania zdrowia.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Maryi Olsz. Pieniądze pod wskazanym adresem odesłaliśmy.

P. Janowi Kiersn. Już raz wysłaliśmy; wyślemy ponownie.

Dr. Jałowieckiemu w Kudeczach. Kwartał I *Prawdy* wyczerpany, przypadającą za niego opłatę zapisaliśmy na rok przyszły.

P. A. R. w Rakiszkach. Wydawca Langego odpisze.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku i stanowiący albo osobną książkę albo część dzieła większego.

Wydawca Historyi Filozofii Materyalistycznej Langego, wysyła przy dzisiejszym numerze **Prawdy** 6-ty zeszyt tegoż dzieła dla naszych abonentów.

Do dzisiejszego numeru **PRAWDY** dołącza się prospekt **Przeglądu Bibliograficznego.**

Sprostowanie. W poprzednim n-rze *Prawdy*, str. 273, szp. 2 w przypisku zamiast „Pismach *poważniejszych*,“ czyt. „Pismach *pomniejszych.*“

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Мая 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.